

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przesyłając należność do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. zlr. 3 c. 52. w Krakowie zlr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Przyczynki do historii i literatury, oryginalne i tłumaczone przez Michała Gliszczyńskiego. — Widzenia. Fantazja Jana Turgeniewa. — Przegląd teatralny. Obrazy na Wystawie Towarzystwa Sztuk Pięknych. — O ubiorach. — Pamiętnik Wacławy przez Elżbę Orzeszkową. — Mąż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską.

PRZYZCYNKI DO HISTORJI I LITERATURY

ORYGINALNE I TŁUMACZONE

PRZEZ

Michała Gliszczyńskiego.

I.

Jakim sposobem Lotaryngia dostała się Francji.

Źródła: Histoire de la Reunion de la Lorraine à la France T. IV. Paryż 1854--1859. Haussouville'a. Frankreichs Einflüsse und Beziehungen zu Deutschland—Stuttgart 1866. Sugenheim'a.

W obecnej wojnie, wiele mówiono o Lotaryngii. Niemcy powiadają że to dawna prowincja niemiecka i powinna wrócić do Niemiec. Francuzi utrzymują że już oddawna wsiąkła w monarchią francuską i nie chce wcale wracać do dawniej swojej metropolji. Opowiedzmy fakta jak były, bez żadnych stronnicych uprzedzeń, a czytelnik sam sobie wyrobi ostateczne i rozumowe przekonanie.

Francja oddawna miała na widoku podbicie Lotaryngji, bo wiedziała dobrze że to jedyna militarna droga do Niemiec i do bliższych z niemi stosunków. W tych to widokach przebiegły Bearneńczyk, co to lepiej i dalej widział niż wszyscy myśleli, zaślubił swoją siostrę Katarzynę z Henrykiem następcą X. Lotaryngskiego Karola III.

Kiedy śmierć rozzerwała ten związek (1604) to Henryk IV chciał znowu Delfina ożenić z najstarszą córką Henryka, który (1608) osiadł już na książęcym tronie. Niedługo jednak, bo w r. 1610 Henryk IV zamordowany został i plan ów upadł. Wdowa, królowa francuska, Marja Medycis a nawet i syn jej Ludwik XIII wyżej sięgali i dla tego zupełnie przestali zwracać uwagę na Lotaryngię.

Kiedy Richelieu został prawdziwym regentem Francji, kiedy zaczął snuć w swojej głowie rozległe plany do rozszerzenia potęgi Francji na zewnątrz, a umocnienia władzy królewskiej wewnątrz, to z tem większą ochciwością przycepił się do Lotaryngji. Na szczęście tej pięknej krajiny, ówczesny książę Lotaryngski Karol IV, przez swoje nieroztropne a czę-

sto dwójznaczne postępowanie, podsuwał nieraz kardynałowi ministrowi pozory do wykonania głębokich a zgubnych dla księcia planów. Czasowe ustąpienie twierdz Marsal, Jamet, Stenay i zupełna utrata hrabstwa Clermont były następstwem jego nieroztropności, na zasadzie pokoju w Liverdun 1632.

Największe oburzenie króla i kardynała ściągnął na siebie Karol IV przez to, że głośno zapewniał ich że nigdy nie odda swojej siostry Małgorzaty Gastonowi ks. Orleańskiemu, bratu i najzawziętszemu nieprzyjacielowi króla, a potajemnie małżeństwo to przyprowadził do skutku w Nancy d. 3 Stycznia 1632. Jakkolwiek małżeństwo to bardzo skrycie zawarte zostało, kardynał dowiedział się o niem, — bo kardynał wszystko wiedział i to pomogło mu najwięcej do usunięcia skrupułów króla, co do użycia otwartej przemocy. Ludwik XIII nigdy nie był czynniejszym i bardziej stanowczym jak wtedy, kiedy chciał pokrzyżować zamiary brata, którego serdecznie nienawidził. To też nagle w Sierpniu 1633 stanął ze znacznymi siłami pod Nancy, a szło mu najwięcej o to, żeby ująć Małgorzatę i małżeństwo jej za nieważne ogłosić, jako zawarte bez zezwolenia króla.

Nancy było wtedy jedną z najmocniejszych twierdz w Europie, miało mocną załogę, mieszkańców pełnych mężstwa i kochających kraj, ale nie lubiących Karola IV który zważywszy, że nie potrafi oprzeć się sam potędze francuskiej, że nie otrzyma posiłków od cesarza Ferdynanda II zajętego wtedy trzydziestoletnią wojną, postanowił na mocy formalnego traktatu 1633 r. we Wrześniu, oddać swoją stolicę w ręce Ludwika XIII, na tak długo, dopóki postępowanie księcia i ukończenie wojny w Niemczech nie zaspokoje zupełnie Francji co do Lotaryngji, dopóki małżeństwo Gastona Orleańskiego nie będzie prawnie za nieważne uznane, a Małgorzata zostanie wydana królewskiemu szwagrowi.

Ten warunek ostatni nie był możliwym do wykonania, bo Małgorzata jak to mówią, była już za siedmioma górami. Jak się to bardzo często zdarza kobieca zrzeczność potrafiła zabezpieczyć się przeciw gwałtowi, i uniknąć sieci dyplomatycznych. Na dwa dni przed podpisaniem traktatu Małgorzata przebrała na mężku w butach z ostrogami, uciekła z Nancy przez francuskie forpoczty, przy pomocy swojego brata kardynała Mikołaja ks. Lotaryngskiego, który jako pośrednik między Ludwikiem XIII i Karolem IV miał francuski paszport. Za miastem wsiadła na przygotowanego konia i mając przy sobie jednego tylko koniuszego, pośpieszyła do Thionville. W drodze trafiła na oddział Szwedów, przed którymi ukryła się w gęste ciernie i bardzo się pokłula, Przeby-

wszy wierzchem szesnaście godzin drogi, stanęła w Thionville, gdzie był hiszpańsko-niderlandzki garnizon, zsiadła z konia i na miejscu ze znużenia upadła bez czucia na ziemię. Leżąc tak, okryta płaszczem swojego towarzysza, który pobiegł wystarać się o pozwolenie wpuszczenia jej do miasta, piękna i młoda kobieta obudzała dla siebie litość w żołnierzach, dopóki żona gubernatora nie zabrała jej do siebie. Mąż jej Gustaw który nciekł do Brukselli, dowiedziawszy się o przybyciu jej do Thionville, udał się zaraz w podróż, spotkał ją już w drodze i oboje świetnie byli przyjęci przez regentkę Izabellę i przez bogate mieszczaństwo Brukselli.

Kardynał minister nie wiele sobie zadawał kłopotu z prawami cesarza niemieckiego do Lotaryngji, jako do swojej lenności i ogłosił publicznie, że te jego prawa są starą uzurpacją, opierając się na tem, że następca Karola W. już się upominał o posiadanie Lotaryngji w połowie IX wieku, a znowu w połowie XII książęta Lotaryngscy przez bardzo krótki czas holdowali francuzkim monarchom. Wiemy jednak że już w r. 942 cesarz Otto I przymusił Ludwika IV do wyrzeczenia się wszelkich pretensji do Lotaryngji.

Srogie rozjątrzenie Ludwika XIII i Richelieu'ego, kiedy się o ucieczce Małgorzaty dowiedzieli, oraz ciągłe zaczepki i dokuczania samemu Karolowi IV, chociaż ten ukrył się w Wogezach i siedząc spokojnie w Mirecourt, żadnych powodów nie dawał do niezadowolnienia, przekonały go, że w Paryżu z góry postanowiono, żeby nie tylko jemu, ale całej jego rodzinie zabrać księstwo Lotaryngskie pod pierwszym lepszym pozorem. Spodiewając się, że rnoże bratu jego, wżęj wzmiankowanemu kardynałowi Mikołajowi, dla którego francuski dwór okazywał się życzliwym, uda się odwrócić od ich domu ten groźny cios, rzekł się 1634 r. na jego korzyść wszelkich swoich praw, i rozkazał wszystkim swoim poddanym uważać go za prawnego pana i władcę. W dwa dni potem wyjechał do Alzacji, zalecając mocno bratu żeby się ożenił z Kludją, siostrą swojej małżonki. Na tem małżeństwie miały spocząć wszystkie nadzieje lotaryngskiego domu, bo Karol IV nie miał dzieci. Oba bracia i obie panie zgodziły się chętnie na ten związek.

Ale to wszystko były tylko zamiary, wykonanie zaś samo przedstawiało niezmiernie trudności, a największą tę, jak oszukać Richelieu'ego, kiedy oczy całej Francji są na nich zwrócone. Rzeczywiście, jak tylko kardynał minister dowiedział się o tym projekcie, który wszystkie prawa książąt lotaryngskich skupiał na tych dwóch osobach, postanowił przeszkodzić mu choćby nawet przemocą. Żeby ją uprzedzić

zaprosił kardynał Mikołaj do siebie czterech doktorów teologii, tego samego dnia kiedy Francuzi oblegli Luneville, gdzie on i jego kuzynka znajdowali się. Zachodziła ważna kwestja duchowo-religijna, czy może swoją kuzynkę zaślubić bez dyspensy papieża. Jak zwykle tak i teraz duchowość i religijność ustąpiły przed interesami świeckimi, skoro interesantami byli władcy potężni a nie biedaki. Doktorzy teologii ludzie uczeni ale roztropni i gięscy, odpowiedzieli: „Wasza Eminencja jako kardynał, może sobie dać dyspensę ale tylko z biskupstwa Toul, dyspensę z kardynałstwa tylko papież dać może. W nagłych jednak i ważnych wypadkach nie raz już biskupi dawali dyspensę kardynałom.” — „A ja właśnie jestem w takim przypadku!” rzekł kardynał i natychmiast w osobnym pokoju dano mu ślub z Klaudją.

Nazajutrz młoda para razem z żoną Karola IV dostali się Francuzom do niewoli i odprowadzeni do Nancy, gdzie byli pilnie strzeżeni. I tym razem niewieścia zęczność przemogła nieprzyjaciela. Jak wszędzie tak i w Lotaryngji jest zwyczaj zwodzenia 1 Kwietnia — Prima Aprilis, to też mniej więcej, nikt jeden drugiemu nie wierzy w tym dniu. Poprzedzając noc udała się, mimo czujną straż, obojgu księstwu wymknąć się z pałacu, ona przebrana za chłopkę a on za tragarza. Młoda para aż do rana ukrywała się w domu kamerjunkra Bernet'a. Kiedy bramy zostały otwarte, oboje niosąc na plecach spore wiązki słomy, wyszli z miasta i musieli nałożyć całą milę piechotę, dopóki nie znaleźli swojego poufnego, czekającego na nich z końmi. W samej bramie poznała ich jakaś wieśniaczka i dała znać o tem żołnierzowi na warcie; żołnierz zawiadomił o tem oficera, który się na głos roześmiał i odpowiedział, że mu wieśniaczka figła na Prima Aprilis wymyśliła. Mimo to doniósł o tem komendantowi Brassac objaśniając go, że to może być jaki figiel, ale Brassac z natury podejrzliwy, rozkazał zaraz oficerowi, pilnującemu książęcą parę, żeby się o prawdzie dowiedział. Oficer udał się zaraz do pokoju i zapytał się czy księstwo już wstali, kamerdyner kiwając ręką, dał mu do zrozumienia żeby nie robił hałasu, bo jeszcze śpią. Grzeźny oficer poczekał jakiś czas, ale nie bez niepokoju. Tymczasem Brassac coraz bardziej rozdrażniony, przyszedł sam i kazał kamerdynerowi otworzyć drzwi. Rozsunawszy franki od łóżka nikogo w niem nie znalazł. Wybuchnął strasznym gniewem na Bernet'a i na służbę książęcą, kazał wszystkich do więzienia wsadzić, zagroziwszy im torturami, jeżeli nie wyjawia, dokąd schroniła się książęca para. Ale i tortury niebyły z nich nie wydoły, bo nic nie wiedzieli, nawet Bernet nie wiedział dokąd udali się księstwo.

Napróżno były wszystkie poszukiwania Francuzów: księstwo zyskali dużo na czasie, chociaż Klaudia tak była cierpiącą, że ją ciągle podtrzymywał na koniu musiano. Nazajutrz już jednak dostali się do hiszpańskiego hrabstwa burgundzkiego.

Wielka była radość Lotaryngczyków, kiedy się o ucieczce książęcą pary dowiedzieli. I mieli słusność! W razie bowiem śmierci Karola IV jako bezdzietnego, synowiec jego Karol V syn Mikołaja i Klaudji stawał się podporą i świętością lotaryngskiego domu. Franciszek I, mąż Marii Teresy był wnuczką Karola V.

Tymczasem Richelieu, po rozpacznej walce oparowawszy cały kraj i zajmawszy większe i mniejsze fortece, kazał nawet burzyć najmniejsze fortyfikacje po zamkach i siedzibach lotaryngskiej szlachty, któreby mogły służyć za schronienie przychylnym stronnikom wydziedziczonej rodziny. Pewien współczesny powiada, że piękna, bogata i ludna Lotaryngia została wtedy istną pustynią. Nie robił tego Richelieu przez zemstę i okrucieństwo, ale z politycznej rachuby. Przewidywał on dobrze, że to przyłączenie Lotaryngji do Francji nie potrwa długo, jeżeli bieg wojny obróci się na stronę cesarza, co bardzo jasno zapowiadało wielkie zwycięstwo Ferdynanda II odniesione nad Szwedami i protestantami pod Nardlingen 1634 r. Zaraz też potem Karol IV przy pomocy Hiszpanów i Bawarczyków odzyskał część swojej Lotaryngji, ale nie na długo. Był to oddawna ulubiony plan Richelieu'ego, zamienić się z książętami lotaryngskimi na Auvergne i żeby ich do tego przedziej nakłonić, rozkazał wojsku i żołnierzom niszczyć tak ten biedny kraj, że Karol IV myślał sobie że zrobi świetny interes, jeżeli mu się uda swoje dziedzictwo, niedawno tak kwitujące a tak zrujnowane teraz, zamienić na urodzajną prowincję francuską. Rzeźczyście udało się kardynałowi w kilka lat potem,

zwać księcia do Paryża przy pomocy jego kochanki Beatryki i zawrzeć z nim umowę, która wnet miała urzeczywistnić jego gorące życzenie. Karol IV prędko pożałował chwilowej słabości, wyjechał prędko z Paryża i bił się z Francją dosyć pomyślnie. Ale nawet pokój Westfalski nie powrócił mu Lotaryngji, bo jeden tylko cesarz Ferdynand III przemawiał za księciem. Niemieccy bowiem kurfirstowie chcący pokoju za jakąś cenę, oświadczyli mu wyraźnie, że Francja ani słyszeć nie chce o oddaniu Lotaryngji. Biedny książę musiał się poddać. W jedenaście lat dopiero potem, na mocy pokoju Pyrenejskiego odzyskał Karol IV połowę Lotaryngji ze stolicą Nancy, ale fortyfikacje miasta zupełnie zburzone zostały.

Z młodszym swoim bratem Mikołajem, któremu przed 25 laty odstąpił zupełnie Lotaryngję, oddawna się poróżnił i aktów za niebyły uważał. Siostra ich, Małgorzata Orleańska pogodziła braci, ale więcej pozornie niż prawdziwie. Stosunek między nimi był ciągle zimny i naprężony z czego Francja korzystała nie omieszkała. Oddała ona połowę Lotaryngji tylko dla tego, że Hiszpanja położyła to między głównymi warunkami pokoju, na którym Francja także świetnie budowała sobie nadzieje. Kiedy Ludwik XIV objął sam rządy (1661) okazał się niemniej chciwym na Lotaryngję jak i Richelieu. Bardzo mu więc było na rękę niezgoda braci. To też, przy pomocy przebiegłego ministra Lyonne, udało się Ludwikowi XIV zawrzeć z Karolem IV umowę (1662), na mocy której książę po swojej śmierci, naznaczył dziedzicem Lotaryngji francuzkiego króla, a on francuzki król zobowiązał się wszystkich członków lotaryngskiej rodziny uznać za książąt krwi francuzkich, mających prawo, po wygaśnięciu linii burbońskiej, do wstąpienia na tron Ludwika św.

Wielka była radość Ludwika XIV, kiedy mu się udało przeprowadzić taki ważny *Coup-d'Etat*. „Zdobylem sobie — powiedział do ks. Kondusza — bardzo ważny dla mnie kawałek ziemi, który mię aż po Ren posuwa. Nie dałem za niego ani grosza pieniędzy, ani kropli krwi, tylko jałowy tytuł i chimeryczne nadzieje, które się nigdy nie spełnią.” Żeby się zabezpieczyć przeciw energicznej protestacji wszystkich członków książęcej rodziny, a najbardziej synowca Karola IV. owego Karola V, o którym wzmiankę wyżej uczyniliśmy, nie zaważał się Ludwik XIV szukać nawet pomocy u nowej kochanki Karola IV, a była to córka aptekarza prześliczna Marjanna Pajot. Przez swojego ministra Le Fellier, który z oficerem i 30 żołnierzami zjawił się w mieszkaniu Marjanny, oświadczył jej, że jeżeli nakłoni Karola IV do podpisania papieru, który jej wręczono, to zostanie zaraz księżną lotaryngską i będzie w Lurwe przyjęta: gdyby zaś nie chciała tego zrobić, to w stojącym przed bramą powozie zostanie zaraz do klasztoru odwieziona. Nie namyślając się ani chwili, odpowiedziała córka aptekarza, że za taką cenę nie chce zostać księżną i wybiera klasztor. Kiedy jej zdziwiony tym heroizmem La Fellier powiedział, że daje jej 24 godzin do namysłu odrzekła Marjanna, że nie potrzebuje się wcale namyślać i odwieziono ją do klasztoru. Ale niedługo tam była, bo Ludwik zawstydzony się takiego obejścia z kobietą, kazał ją uwolnić, potem kochał się w niej nawet przez jakiś czas. Wyszła później za mąż za margrabiego de Lassay.

Daleko energiczniej niż książęta wystąpili lotaryngskie stany. Szlachta szczególnie mocno się opierała temu układowi, który odbierał im narodowość i odrywał od cesarstwa niemieckiego, do którego od niepamiętnych czasów należeli. Głośno oświadczyli, że książę Karol IV nie miał prawa zawierać podobnej umowy, bo skoro nie wolno mu bez zezwoleniastanów nowych praw i podatków stanowić, tem bardziej całym krajem samowolnie rozrządzać. Prześladowania ze strony Ludwika XIV i dosyć surowe środki, użyte przez Karola IV przeciw opozycji, nie na wiele się przydały. Wysłano deputację złożoną z czterech opatów, czterech deputowanych ze szlachty i czterech z mieszczaństwa na sejm do Ratisbony do cesarza, żeby go nakłonić do energicznego wystąpienia przeciw tak niesłychanej sprawie. Ale Leopoldowi I siedzieli na karku Turcy, to też król francuzki nie obawiał się takiego przeciwnika, a z sejmu nie sobie nie robił. Mimo to wszystko, dzielny ten opór zmitrzęził nawet Ludwika XIV, tego wyrafinowanego despotę. Ponieważ sprawa ta narobiła dużo hałasu w Europie i w najgorszym świetle wystawiła francuzkiego króla, ponieważ i szlachta francuzka nie pochwałała tego kroku, postanowił Ludwik XIV wypuścić z rąk tę ponętną zdobycz. Nie obo-

wiązując się do niczego piśmiennie oświadczył ustnie Karolowi IV, że przeszłoroczna ich umowa zrywa się, ale za to musi mu oddać ostatnią twierdzę Marsals.

Nie długo potem wybuchły gwałtowne nieporozumienia między Karolem IV i kurfirstem Falen o jurysdykcję, do której rościł sobie prawo w imieniu cesarza aż w granicach Lotaryngji. Porwali za oręż ale bardzo spokojnie i rozważnie. Trzy lata wojowali, aż wreszcie pogodził ich pokój Westfalski przyznawszy słusność kurfirstowi Falen.

Karol IV miał dobre i spore wojsko, nie rozpuścił go jednak, bo się zanosiło na wojnę Francji z Hiszpanją. Miał nadzieję że zrobi dobry interes z Ludwikiem XIV i zagarnie sobie jaką dobrą zdobycz w Hiszpanji. Arcy-chrześcijański król przystał chętnie na współkę z Karolem IV, bo Lotaryngczycy znani byli ze swęj waleczności, ale pod tym warunkiem, że w czasie całej wojny, Francja da jego żołnierzom tylko broń i żywność, a żołd będzie im książę płacił. Karol IV chciał się wycofać od takiej współki ze lwem, ale mu Ludwik XIV krótko a węzłowato odparł, że tu nie idzie o jego pretensje i swobodę działania, jako niezależnego władcy, ale o posłuszeństwo, bo jeżeli natychmiast nie ulegnie, to armia francuzka i przeciwko niemu i przeciwko Hiszpanji da sobie radę. Karol IV nie miał nic do zarzucenia takim argumentom, wyprowadził swoje wojsko w pole, zdobył Lille, Tournay i inne fortece dla Francji a za to Hiszpanie splądrowali Lotaryngję i książę musiał im zapłacić 40,000 talarów, żeby sobie z niej wyszli.

(d. c. n.)

WIDZENIA

FANTAZJA

JANA TURGENIEWA.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Wzniesiliśmy się bardzo wysoko, — spojrzaliśmy na dół. Szybowałam nad jakimś nieznanym mi miastem, zbudowanym na pochyłości wzgórza. Kościoły wznosiły się jakby nad drzewami, na zakręcie rzeki czernił się wielki most zarzucony nad nią, złote kopuły i krzyże metalowe jaśniały przyćmionym blaskiem. W pośród bukietów szczytów sterczały wysokie żorawie stuidienne! Od jednego do drugiego końca miasta, ciągnął się białawym sznurem nie szeroki trakt, nikiący gdzieś w poblizkiej ciemnej płaszczynie.

— Co to za miasto? zapytałem.

— N.

— W gubernji ***?

— Tak jest.

— Więc jestem bardzo daleko od domu.

— Dla nas odległość nie istnieje.

— Czy tak?... Przyszła mi myśl zuchwała. Więc ponieś mnie do Ameryki Południowej.

— Niepodobna, tam teraz dzień.

— Aha! a my jesteśmy nocne ptaki... Nol mniejsza o to! lemy gdziekolwiek, byle bardzo daleko.

— Zamknij oczy i nie oddychaj, odrzekła Alicja a polecim prędko jak huragan.

W teje chwili posłyszałem gwałtowny świst powietrza, wkrótce zatrzymaliśmy się, jednak szmer nie ustawał lecz przeciwnie stawał się coraz głośniejszy. Było to coś jakby straszne wycie, jakby nadzwyczaj silny łoskot.

— Teraz otwórz oczy, rzekła mi Alicja.

IX.

Byłem posłuszny. Boże mój! gdzie ja jestem?..

Po nad głowami naszymi zawisły nisko opuszczające się chmury, ciężkie i gęste, spychające jedną na drugą jak rozwścieczone potwory — pod stopami roztaczał się inny znów potwór — rozhukane morze. Ciskana gwałtownie piana, piętrzyła się w niebotyczne góry, a rozhukane bałwany rozbiły się z gwałtownym trzaskiem o czarne jak smoła nadbrzeżne skały. Ryk burzy, lodowy oddech zionący z głębi

otehłani, szum fal uderzających o wybrzeża, wszystko połączone tworzyło jakiś straszny, nieopisany odgłos, naśladujący już to bezmierną skargę, już huk oddalonych wystrzałów, to znowu głośnie bicie dzwonów lub skrzyp kamieni zsuwających się na wybrzeża. Czasami odbijał mi się o uszy krzyk niewidzialnej mewy. Na odłamie chmury rysowały się niewyraźne kształty okrętów... słowem ze wszech stron przedstawiał się przerażający widok śmierci i zagłady... W głowie mi się zawracało... zdjęty przerażeniem zamknąłem oczy.

— Co to za miejscowość?... gdzie jesteś?..

— Na południowym wybrzeżu wyspy White, po nad skałami Blackgang, gdzie tak często rozbijają się okręta, odpowiedziała Alicja, jak mi się zdawało z wyrazem złośliwej radości.

— Unieś mnie stąd daleko.... daleko.... do mego domu.

Przytulilem się do niej zasłaniając sobie oczy. Zdawało mi się że teraz lecimy daleko, jeszcze prędzej niż przed chwilą. Wiatr ustał, a jednak przez rzęka mi do głowy, arterje w skroniach uderzały jak młotem; w głowie czułem dziwne tentnienie.... Po kilku chwilach przyszedłem jednak do siebie, wyprostowałem się i otworzyłem oczy.

— Stań na ziemi, rzekła mi Alicja.

Gwałtownym wysiłkiem zdołałem zebrać zmysły, uczułem grunt pod nogami; nie słyszałem żadnego hałasu ani szmeru — wszystko w około zdawało się pogrążone w śnie śmierci. Krew gwałtownie uderzała mi do głowy, arterje w skroniach uderzały jak młotem; w głowie czułem dziwne tentnienie.... Po kilku chwilach przyszedłem jednak do siebie, wyprostowałem się i otworzyłem oczy.

X.

Staliśmy na trakcie ciągnącym się wzdłuż mojego stawu. Przed nami, po za brzoźowym szpalerem ukazywała się wielka powierzchnia stawu, po nad którą tu i owdzie unosiły się małe kłęby mgły; — na prawo zieleniały łany żyta, — na lewo wyłaniał się z po za mgły wielki mój sad ze swemi wyniosłymi drzewami o nieruchomych, szarawych wierzchołkach. W powietrzu widać było zapowiedź świtania. Na białym niebie ciągnęły się jakby ukośne pasy, dwie czy trzy małe chmurki, ozłoczone padającym na nie pierwszym promieniem jutrzeńki, przyhywającej Bóg wie z jakiego krańca świata, bo na jednostajnie białym nieba obszarze, nic jeszcze nie zwiastowało z której strony słońce miało się ukazać. Gwiazdy jedna po drugiej znikły, wszystko oddychało jeszcze spokojem, czarujący pół-cień roztaczał się w około, a jednak cała przyroda zdawała już budzić się do życia.

— Dzień już świta, szepnęła z cicha Alicja. Bywaj zdrów do jutra!

Zwróciłem się ku niej, ale już porzuciła ziemię i tuż przedemną wzniosła się w powietrzu. Nagle ujrzałem że wzniosła ręce do góry, i jednocześnie jej głowa, ręce, ramiona, przyoblekały koloryt życia, a oczy jej tak głębokie rzucające wejrzenia, błyszczwały jak gorejące węgle. Na jej zarumienionych ustach igrał uśmiech tajemniczej rozkoszy.... ujrzałem cudną dziwięcę.... Ale widzenie to trwało tylko chwilę — jakby olśniona rzuciła się w tył i w gniewieniu oka rozplynęła się w chmurę. Osłupiały z podziwu, czas jakiś stałem jak wryty, nareszcie kiedy przyszedłszy do siebie mogłem zebrać myśli i zastanowić się, wydawało mi się że ta piękność cielesna, że te blade-różowe tony nie zniknęły jeszcze zupełnie, ale choć rozeszły się w powietrzu unosiły się jednak nademną. Może to jutrzeńka tak je rumieniła. Zmęczony, zwróciłem się ku domowi. Przechodząc koło kurnika usłyszałem geganie młodych gąsiąt, ptaki te jak wiadomo budzą się najpierw.... Wzdłuż dachu, na żerdziach podtrzymujących dach słomiany, wrony stały na czatach, a kształty ich odbijały się jasno na biało-mlecznym niebie. Chwilami wszystkie zrywały się nagle i żadnego nie wydając krzyku, znowu gdzieś w pobliżu szykowały się w szeregi. W pobliskim lesie odezwało się dwukrotnie zakatarzone gdakanie cietrzewia, już tak rano szukającego dzikich jagód wśród zroszonej trawy. Czując że coraz mocniej zimne przehodzą mnie dreszcze, wszedłszy do domu zaraz rzuciłem się na łóżko i wkrótce twarde snem zasnąłem.

XI.

Gdy następnej nocy zbliżałem się do starego dębu, Alicja wyszła na moje spotkanie jak dawna znajoma, ja z méj strony żadnej już nie uczuwałem obawy i wi-

tałem ją niemal radośnie. Nie łamałem już sobie głowy aby zrozumieć dziwną moją przygodę, i o tem tylko myślałem aby latać i latać i zadowolnić moją ciekawość.

Wkrótce Alicja objęła mnie ramieniem i wzniesiliśmy się w powietrze.

— Lecmy do Włoch, szepnąłem jej do ucha.

— Gdzie tylko chcesz, luby mój odrzekła łagodnie ale jakby z tryumfującą miną i pochyliła ku mnie głowę. Zdawało mi się że twarz jej była mniej przeczczystą niż wczoraj, rysy więciej kobiece, nie tak mgliste. Przypominała mi zupełnie uroczę zjawisko, które ukazało mi się wczoraj w chwili rozstania.

— Noc dzisiejsza to noc wielka, rzekła Alicja, wypadła bardzo rzadko, gdy sześć razy trzydzieści....

Tu niedosłyszałem kilku słów.

— Podczas takiej nocy, mówiła dalej, można widzieć co w innym czasie pozostaje ukrytem.

— Kto ty jesteś, Alicjo? pytałem błagalnie. Proszę powiedz mi to raz przecie.

Nie odpowiadając wyciągnęła swoją długą białą rękę, wskazując palcem na zasępionem niebie miejsce, gdzie w pośród małych gwiazdek, błyszczwała czerwona kometa.

— Jakże mam to rozumieć? zawałem. Czy jak ta kometa żyjesz błakając się między planetami a słońcem?... Czy przebywasz w pośród ludzi? lub może.... Nagle Alicja położyła mi rękę na oczach, i zaraz otoczyła mnie mgła podnosząca się z doliny.

— Do Włoch! do Włoch! zawołała. Noc dzisiejsza to wielka noc!...

(d. c. n.)

Przegląd teatralny.

Hamlet tragedia Szekspira w pięciu aktach przełożona przez Krystyna Ostrowskiego.

Przedstawienie pierwsze d. 25 Marca b. r.

Pomimo pojawiania się coraz nowszych przedstawień na scenie naszego teatru, ze sprawozdawczym o nich obowiązkiem wstrzymywaliśmy się. Taki: Gwóźdź w zamku, Chichotka a nawet po części i Fru-fru mimowoli wymykają się z pod sprawozdawczego pióra, publiczność składa się wprawdzie z rozmaitych żywiołów, rzecz zajmująca jednych może nie odpowiadać gustowi drugich, jednych może śmieszyć drugich gniewać, w żadnym jednak wypadku nie powinna zmuszać do troskliwego przeglądu sztuk afiszem zapowiedzianych, zanim ojciec córki swe do teatru zaprowadzi.

Po długim wreszcie czekaniu, przedstawienie Hamleta stało się prawdziwą uroczystością teatralną, publiczność przyjeła go z zapałem a artyści zapewne z radością, że po nużaniu się w trywialnej atmosferze utworów przedrzeźniaczy dramatycznych, przedstawia się publiczności w szrankach zakreślonych geniuszem nieśmiertelnego poety.

Pani Modrzejewska wybierając utwór ten na benefisowe przedstawienie, jakkolwiek nie pierwszorzędną zajmowała w nim rolę, dowiodła wysokiego pozaszanowania swego zawodu i pojęcia znaczenia jego w ogólnym rozwoju społecznym. Potęgi słowa nie zastąpić niezdola, uplastycznienie kompozycji dramatycznej grą artystów i złudzeniem teatralnych przyborów, podnosi wpływ jego i w wyobraźni widzów niejako fotografuje odbierane wrażenie. W ujemnym lub posiadającym tylko wartość błysku sztucznych ogni swędem i czadem darzących widza, teatr chyba swojego celu i staje się zabawką często zdrożną a zawsze bezkorzystną. Takie pomijanie jego przeznaczenia nie jest mało znaczące, społeczność każda zbyt wiele sama w sobie posiada przeszkód, aby bezkarnie mogła lekceważyć choćby jedną sprężynkę, jedną niteczkę z tej wielkiej dźwigni, co ją pociąga ciałem ku wyżynom ducha. Teatr jest jednym z takich a Hamlet bez zaprzeczenia jednym z tych prądów tajemniczych, co tworząc się w grze artystów płyną wprost do duszy widzów i przyjęci w gościnie stają się w niej domownikami.

O Hamlecie tym najpotężniejszym dziele Szekspira jak i innych jego dramatach, napisano tyle objaśnień, komentarzy, krytyk, tak go troskliwie rozważano i sądzono, że gdybyśmy sprawozdanie nasze jak najbardziej rozszerzyli, nie byłoby nowego powiedzeń nie mogli. Wszystko to zdolne utworzyć niemal bibliotekę, połączone z licznymi przekładami na

wszystkie języki ucywilizowanych ludów, jest pośmiertną częścią dostojeństwa człowieka, którego duch przez współczesnych ani pojęty ani zrozumiany, od pół trzeciego wieku przeszło wskrzeszony myślą ludzką, błąka się w jej szrankach w coraz większego rozrastając się olbrzymia.

Treść dramatu bardzo prosta i zupełnie nie zawiła, jak wszystkie podobne utwory Szekspira, któremu nigdy nie szło ani o intrygę, ani o prawdopodobieństwo użytych efektów, ani wreszcie o czas, miejsce i prawdę historyczną, tylko o możność wypowiedzenia własnych pojęć w obranym zadaniu, w stosunku jego do świata. W utworach swoich jak sam powiada, stawiał niejako zwierciadło naturze, cnotcie ukazywał własną postać, hańbie własne rysy, a powłoce czasu nadawał właściwy kształt i piętno. Treść dramatu można zamknąć w kilku wierszach.

Król Danji ojciec Hamleta, zamordowany podstępnie przez swego brata, poślubiwszy pozostałą po nim wdowę, oddziedziczył zarazem i tron osierocony. Hamletowi smucącemu się po śmierci rodzica, ukazuje się duch zamordowanego. Jam duch twego ojca, powiada widziadło. Jeżeliś miłował kiedy ojca twego mord jego okropny pomścij.

— Och! opowiedz jak najprędzej, odpowiadała Hamlet abym na skrzydłach tak rączych jak dumań lub myśli kochanków, do zemsty pośpieszył.

Kiedy duch opowiedziawszy szczegóły morderstwa znikła, Hamlet wybucha oburzeniem. Zastępy niebios, woła: o ziemi! mamże i piekło do was przyłączyć? O! zwolna moje serce, hamuj gwałtowne bicie i wzmóż się na siłach. Biedny duchu! dopóki się pamięć w tej obolałej rozpościera zlepce, z karty moich wspomnień wykreślę wszelkie rysy i ślady ubiegłej przeszłości, a tylko w księdze mojego pojęcia twój rozkaz samotny zostanie.

Odtąd Hamlet z młodzieńca melancholijnego, pragnie zostać człowiekiem czynu, ale wpadając w dziwną mieszaninę zapału i ociągania się wprędce przekonywa się, że przyjął zadanie wyższe nad swoje siły. W tem to szamotaniu trawiącego ducha, mieści się tajemnica wszystkich wątpliwości i sprzeczności dramatu. Przed spotkaniem się z duchem ojca, Hamlet radby jak powiada aby ciału jego:

Jak lód rozstało, w rosę stopniało!
Lub samobójstwa bodaj Przedwieczny
Ludziom nie bronij! Boże mój Boże!
Jak mi się zdaje nieużyteczny,
Płaski, zwietrzały, nudny i brzydki
Świat ten i jego wszelkie użytki! —
Wszakże to ogród niewypielony
Buja w nasienie: chwasty i ziele
Wszystko tu głośzą.

Później zgnębiony zobowiązaniem zemsty, czuje trudność swego położenia. O! Boże powiada, można by mnie wcisnąć w lupinę orzecha, a gdyby nie te sny dręczące, miałbym się za króla przestrzeni bez granic. Zwierzając się zaś towarzysiom lat swoich dziecinnych z usposobienia swego obecnego powiada: od niejakiego czasu, straciłem sam nie wiem dla czego wszelką swobodę, zaniechałem zwykłych czynności i w tak smutne wpadłem usposobienie, że ta piękna ziemia wydaje mi się pustym przyładkiem. Patrząc! ten wspaniały namiot po nad nami zawieszony, powietrze, ten czysty zapadający do koła widnokrag, to majestatyczne sklepienie szafiru wyłożone złocistymi ogniami, niczem innym mi się nie zdają jak tylko brzydkim stekiem zaraźliwych wyziewów. Człowiek tak szlachetny swoim rozumem, nieograniczony w zdolnościach, tak dziwny w postaci i ruchach, w działaniu równy aniołom, w pojęciu podobny Bogu, ozdoba świata, wzór całej żyjącej przyrody, czemuż jest dla mnie to zbiorowisko pyłu? Mężczyzna już mnie nie bawi i kobieta nie.

Później przychodzi walka z sumieniem, zemsta zdaje mu się tak potwornym dziełem, że tylko wyrodzić się mogła z namowy szatana. W sławnym monologu: *być albo nie być*, zapytuje sam siebie, czyli szlachetniej, znieść w swej duszy wszystkie zawziętej doli groty i pociski, czy też broń pochwyć i to morze cierpień zważyć bronią? Umrzeć, spać i nie więciej, pomyśleć że snem tym zakończyć można wszelką serca boleść, to zaprawdę końca takiego pragnąć najgorzej. Ale w tym śnie śmiertelnym, powiada Hamlet, nieświadomość marzeń gdy się ze zgiełku świata otrząśniemy, do kresu każe znieść naszą nędzę. Bo jestże taki coby wytrzymał szyderstwo czasu, dumnych pogardę, ciężkie męczarnie wzgardzonej miłości, przewłokę prawa, i wzgardę skromnej

zasługi, gdyby przed tem wszystkiem mógł się ukryć jednym sztyletu pchnięciem? Ktoby jęczał pod życiem trudem, gdyby nie obawa tego, co się po śmierci nam ukaze w tej krainie ukrytej dotąd, a z za której granic żaden nie wrócił wędrowiec? Ona to zmusza ziemską cierpieć biedę niż uciekać tam co nam nieznane. Tak to przez sumienie stajemy się tehorzami, naturalny rumieniec męzkich postanowień niknie pod bladocią myśli, a nawet zamiary pełne siły i jedności zbite z toru tracą nazwę czynu. Walka ta własnych pojęć, przypuszczeń, obaw, niepewności, chęci i niemocy, oto zrab główny wspaniałego gmachu, rozwijającego się w oczach widzów na ich podziw i zachwycenie. Piękności tu tyle, że dotknawszy jedną, mimowoli druga podsuwa się uwadze obudzając żal, że się nią, z Czytelniczkami podzielić nie można. Z żalem rozstając się z samym utworem nieśmiertelnego wieszczą, słówko dodamy o grze artystów.

Główną rolę Hamleta grał pan Królikowski, co zdaje się być dostatecznym do przekonania, że oddana była z całym wnikiem i zrozumieniem duszy bohatera tak jak go sam Szekspir zapewne pojął i zrozumiał. Hamlet to nie entuzjasta, nie gorączkowo zapalenie bez namysłu rozporządzający czynem, ale marzyciel filozof, szamoczący się z duchem swoim i każdą myśl, każdy zamiar oddający pod ścisły rozbiór rozwagi. Świat, przyszłość cała, byt jego i jego uczucia, to zagadki, które anatomizuje, przygląda się im z blizką, potrąca ze wzgardą lub podnosi, nie śmie ich jednak nawet domysłem rozwiązać. Z tego roju zapytań bez odpowiedzi, sarkazmów pełnych gorczy, wylania się niemość przemienienia w czyn zamiaru do jakiegoś duch ojca gwałtem go nakłania. Pan Królikowski tak pojąwszy rolę, wierzył stał się jej przedstawicielem i pod postacią tego artysty, Hamlet stanął w całej swój prawdzie, z głębin swego ducha bez osłony.

Pani Modrzejewska niby trzecie czy czwarte zajmowała miejsce w tragedji, ale wielkim uczuciem, wdziękiem niezrównanym podniosła go do pierwszego i przy Hamlecie jaśniała całą siłą swego talentu. W scenie obłąkania przeplatanej śpiewem, obudzając mimowolne współczucie, dreszczem przejmowała widzów choćby najobjętniejszych. Inni artyści, jak pani Niewiarowska, panowie: Stółpe, Zółkowski, Piasecki, Tatarkiewicz, Szymanowski, nawet pan Grzywiński w roli ducha, oddali rolę swą z całą godnością i starannością, zaszczyt im wielki przynosząca. P. Chomiński i Damse w rolach grabarzy, choć tak matulkich, zaledwie do jednego obrazu należących, oddali je jednak z taką prawdą i artyzmem, że im jak najstuszniej należy się szczerzy poklask podzięki.

Pewnej jednak części publiczności, niczem nie poprawionej, zajmowaniem miejsce w krzesłach i łóżkach dowodzących swą niepospolitość, jeżeli nie w głowie to w kieszeni, należy się wyrzut oburzenia, za tumult, wrzawę i przeszkodę, jaką wychodzeniem przed ukończeniem przedstawienia sprawiają tym co wielbiąc poetę, szanując sztukę i poważając artystów, radziby nie stracić jednego słowa z tego czego słuchają i na co patrzą. Lekceważenie takie wszelkich względów przyzwoitości, nawet w tuzinkowych ramotkach scenicznych jest nagannem, co dopiero powiedzieć gdy idzie o Szekspira i o jeden z jego dramatów najpojętniejszych?

OBRAZY

NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA SZTUK PIĘKNYCH.

(Dalszy ciąg.)

Handlarz kupujący resztki zamożności przedstawiony przez p. Buchbindra, grzeszy brakiem wyrazistości w kompozycji. Myśl wiele dramatyczna: pozbywać się z biedą kosztowności stanowiących może miłą dla serca pamiątkę, rzecz to zawsze bardzo bolesna. Zestawienie dwóch postaci, jednej smucącej się drugieję zajęteję spodziewanym zyskiem, może utworzyć obraz nader zajmujący przedstawiający szerokie pole dla talentu artysty. Na obrazie p. Buchbindra nie widzimy tego. Handlarz pomieszczony na pierwszym planie główną tu stanowi osobę, nie odznacza się jednak żadną wybitniejszą charak-

terystryką coby myśl główną pracy ujawniała. Kobieta sprzedająca wdał usunięta, więcej zdaje się być widzem spokojnie przypatrującym się, jak osobą z musu pozbywającą się kosztowności. Wszystko to tak jest niejasnym, że patrząc trudno osądzić, czy scena odbywa się w pomieszkaniu handlarza czy sprzedającej.

Pod względem jednak technicznym pracy tej nie zarzucić nie można. Rysunek dobry, koloryt naturalny i szczegóły wszystkie starannie opracowane.

Pana Horowitza sielanka zimowa przedstawiająca dwóch małych druciarzy, posiada zalety z jakimi jak najeczęściej radzibyśmy się spotykać w pracach innych malarzy. Ile tu prawdy i poezji zarazem to trudno opowiedzieć, trudniej jeszcze opisać. W czasie mroźnej zimy, w pośród śniegu pod oknem jakiejś kamienicy stoi dwóch chłopców druciarskich, okrytych starannie guńkami góralskimi, z których starszy zwrócony ku oknu zazdrośnie przypatruje się płomieniowi buchającemu na kominie wewnątrz pomieszkania. Drugi znacznie od niego młodszy oparty plecami o ścianę, osłaniając się guńką, patrzy wprost widza niby z obojętnością, ale widać w twarzy jak mu zimno dolega, jakby rad rozgrzać skrzepłe swoje członki i zaspokoić głód jakim ciepłem pożywieniem. Patrząc na tych biedaków mimowoli rodzi się współczucie i obudza myśl, że tam daleko może matka troszczy się niespokojna o swoją ukochaną dźwiatwę, że w codziennej modlitwie poleca ich Opatrzności, żłorzecząc ziemie tyle dla nich dokuczliwiej. Szczegóły wszystkie równie w obrazku tym starannie są obrobione, nic w nich nie pominięto nie lekceważono. Ubiór na chłopcach, guńki, chodaki sznurowane i podniszczone, przybory druciarskie, cera twarzy, kapelusze, włosy nawet szyby w oknie zakurzone i brzegami omarżnięte, wszystko to z największą oddaną prawdą, jakby dla pokazania że takowa nie poezji nie przeszkadza. Nie każdy z artystów umie to zachować, dlatego na wielu bardzo obrazach postaci na nich mieszczące się, więcej wyglądają na lalki lub manekiny jak na żyjące istoty.

(d. n.)

O UBIORACH.

Z każdym dniem bieżącego miesiąca, właścicielki zasobniejszych naszych magazynów, spieszą do Brukselli i Londynu po świeże zapasy wiosennych strojów, niektóre jednak przez swoje kommisso domy już się w nie zaopatrzyły. Będąc u pani Kwiatkowskiej, przeglądaliśmy różne kostiumy na tę porę okrycia, z których praktyczniejsze podajemy.

Suknia do ziemi z drap de Chandord koloru czekoladowego.

Spódnica z dwiema ciemniejszej barwy aksamitnymi plisami, jedna pięć calowej szerokości, druga w odstępie ćwierć calowym, przyszyta o cal węższa. Po nad tą drugą plisą zachodzi tunika, na dole pliszą znów o cal węższą u dołu przybrana, i w odpowiedniej odległości, co na całości tworzy suknię, niby trzema plisami naszytą. Tunika ta z lewego boku rozcięta jest aż do samego pasa, i tak sfaldowana, żeby znać było że się nieco otwiera. Spojenie rozcięcia stanowią cztery dość duże kokardy aksamitne. Stanik bluzkowy z szerokimi rękawami, z szerokim wyłogiem aż do paska, który ułożony w trzy płytkie pliski ma przszytą aksamitną baskinę, na przodzie dość szeroką, z tyłu zaś karoczek w górę podebrany z materji jak suknia. Kokardy aksamitne, z tyłu większa, z przodu mniejsza, zdobią pasek.

Suknia czarna poult de soie do ziemi. Spódnica z trzema aksamitnymi na cztery cale plisami poniżej kolan, u samego zaś dołu w ząbki wycinana, mocno nafałdowana riusza obrzeża suknią, na którą kładzie się długi aksamitny kaftan zupełnie zamknięty z przodu, krojem Gabrjeli, i przez całą długość przybrany takąż samą jak dół sukni riuszą. Po bokach urządzenie z pętelki i guzików, dozwala kaftan ten wedle woli albo luźno puścić, lub też podpiąć. Do koła oszyty był piękna frendzla.

Rękawy à la Louis XIV. Pasek w pliski ułożony z poult de soie, z kokardą aksamitną z tyłu z ćwierć łokciowej szerokości końcami, oszytymi bardzo długą frendzlą.

Kostium czarny wełniany z dwiema spódnicami. Pierwsza u dołu obłożona atlasem, szeroko na 5 cali, druga tak samo z dodatkiem frendzli. Spódniczka ta po obu bokach z fantazją, wielkimi atlasowymi kokardami podpięta. Kaftaniczek z atlasowym dłuższym przodem w formie kamizelki, do której w poprzeczne fałdki ułożone niby rabaty, tylko do paska dochodzą, z tyłu zaś ten kaftanik podłużony w rodzaju karoczek. Rękawy przybrane wyłożeniem na wierzch w pliski, przybrane atlasem.

Kostium popielaty z Crêpe de laine. Spódnica z szerokim wolantem w fałdki płaskie ułożonym, nad nim woda z dwoma nagłówkami. Druga krótsza spódnica na przodzie prosto aż do dołu otwarta, wodą na około ubrana, u dołu oszyta wełnianą frendzlą w kwaściki zrobioną. Paletocik luźny z przodu na bokach otwarty, z tyłu podpięty w trzy fałdy, które się zdobią piękną rozetą z kwastami. Oszyte paletocika składała woda i frendzla. A teraz przejdźmy do kaftanów, kaftaniczków i okryć rozmaitych.

Kaftan aksamitny do figury, którego dół tworzy kamargo, ubrane gipiurami koronkami i przesłizną pasmanterją, którą ozdobiło nawet pasek i tylną kokardę. Na plecach rodzaj kaptura z gipiury wachlarzowo ułożony.

Kaftanik czarny, przypasowany do stanu (demi ajusté) z tyłu rozcięty, ubrany pliskami atlasowymi i riuszą strzępioną poult de soie, i do tego frendzlą oszyty.

Kaftanik granatowy z koreiku, szeroko-czarnym aksamitem obłożony; na plecach przez całą ich długość naszyte dwa aksamitne pasy, szerokie jak obłożenie kaftanika, a jedno jak drugie jaśniejszymi od koloru kaftanika jedwabnymi wypustkami objęte. Kaftanik rozcięty z tyłu aż do stanu, ma w tem miejscu przszytą piękną szmuklerską rozetę i ztąd aksamitne wyżej opisane pasy, już są luźno puszczone i zakończone szeroką frendzlą.

Sukienne okrycie Alvar zwane. Przody krojem Gabrjeli u dołu w ząb ścięte, zapinane przez całą długość na guziki duże. Na to peleryna nakształt rogowej chustki, mocno na przodzie rozchodząca się, niemal równie długa, jak samo okrycie. Na plecach wązki długi kapturek, pasmanterją i aksamitem przybrany. Spódnica od okrycia z tyłu głęboko rozcięta, z obu stron okrągławo skrojona. Pod pelerynką niema pleców. Kołnierz aksamitny. Wszystko oszyte piękną frendzlą.

Okrycie Souveraine, krojem talmy, rękaw od razu sformowany, śpiczasto zakończone. Ozdoby z pasmanterji od ramion zaczawszy, tworzą na plecach niby kaptur. Oszyte do koła dowolne z futra lub aksamitu. Na jednym rękawie długo puszczone dwie szmuklerskie pletnie zakończone kwastami.

U pana Penkali znaleźliśmy także wielką różnorodność stosownych na tę porę okryć z których niektóre opiszemy.

Kaftanik rypсовy na podszyciu z flaneli ciemno brązowy, z szerokimi greckimi rękawami (wewnątrz węższe) obłożony plisą na 3 palce szeroka, także rypсовą, której przyszyte nakrywał sutasz czarny jedwabny ze złotem mieszanym, frendzla dość szeroka dopełniała przybrania.

Aksamitny luźny paletot krótszy z przodu, z tyłu nieco podpięty, od samej góry, przybrany węzykowsko, spadająca koronka aż do dołu. Rękawy szerokie, kilka razy koronka na dół spuszczonej przybrane, na przyszyciu której pliska atlasowa.

Paletocik aksamitny wcięty do figury u którego za pomocą dolnego podpięcia tworzy się z tyłu niby tunika. Do stanu na przodzie przypasowana kamizelka à la Richelieu. Przody zaś same zaczawszy od pasa aż do dołu okrągławo ścięte i naszyte jedwabnymi pętlcami (brandebourg). Do koła cały paletot oszyty frendzlą. Chcąc ten paletot mieć mniej strojnym, trzeba go tylko rozpiąć z tyłu, co również po każdym zdjęciu z siebie zaleca, aby aksamit zagięcia nie nabierał.

Z bogatszych wiosennych ubiorów, zaleca się znaczny wybór aksamitnych kaftaników, podszytych kolorową flanelką, na cenę mniej więcej rs. 40.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEM MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Szłam oparta na ramieniu Bini jedną z najdłuższych i najwęższych ulic miasta, i ciekawie otwartymi oczami patrząc na ludzi, którzy wkoło mnie licznie i tłumnie wązkiemi postępowali chodnikami, myślałam sobie: czemuż tak obca jestem tym ludziom? Czemuż wydaje mi się jakoby inny jakiś niż oni świat zamieszkiwała: tak ich nie znam, tak na nich nigdy nie zwracałam uwagi, tak oko moje przesunęło się po nich dotąd pobieżnie, bezmyślnie?...

A jednak jakaż różnobarwność, jaka rozmaitość w tej pstrągłej tłoczącej się ludności! Ileż tu więcej treści i poezji jak w tem kole moich znajomych, którzy zamieszkują jednostajne salony, jeżdżą jednostajnymi karetami, ubierają się w jednostajne fraki i suknie, śmieją się, rozmawiają i bawią jednostajnie.

Tu naprzykład przy bramie wielkiego jakiegoś gmachu, kilku mężczyzn utworzyło ściśnięte kółko i prowadzi między sobą ożywioną rozmowę. Młodzi oni jeszcze wszyscy, ale twarze ich poważne i myślące a z ruchów ożywionych i ze zmarszczek co brwi im zsuwają znać, że mówią z sobą o rzeczach ważnych, bo ważniejszych zapewne niż bal, wizyta i obiad prozorny. Jeden z nich opowiada coś ścicha innym z energją i jak się zdaje z oburzeniem, drugi słuchając go prostuje się dumnie, brwi marszczy, bujnego targa wąsa i zupełnie taką ma postawę, jaką salonowy romantyk nasz, mój specjalny admirator p. Ignacy tak często przybierać umie. Lecz dziwna rzecz! panu Ignacemu z postawą tą śmiesznie i nie do twarzy, a ten nieznanym mężczyzną tak pięknie wygląda z tą dumą rycerską na czole, a pełnym gniewu i energii gestem!

— Biniu! spytałam, o czem mogą z takim ożywieniem rozmawiać ci ludzie? i dla czego jeden z nich tak prostuje się hardo i gniewnie wąsa targa?

Binia popatrzyła na grupę mężczyzn i odrzekła:

— O ile mi się zdaje, jeden z tych ludzi opowiada innym o wielkich krzywdach co się kiedyś dokonywały na świecie, a ten o którym mówisz, najmłodszy i najgorętszy ze słuchaczy, wre gniewem i oburzeniem.

— Rozumiem teraz, rzekłam, dlaczego mu tak pięknie z postawą w jakiej stoi. Nie wyuczył się on jej przed zwierciadłem i nie używa ją za narzędzie do sprawienia efektu, ale płynie mu ona z serca przejętego uczuciem gorącym.

A tam środkiem ulicy śpiesznym krokiem postępuje mężczyzna otulony futrem. Na pochylonem

jego czole osiadł namysł głęboki, a za nim biegnie dzicję bosa, odarta, drżące od zimna, płaczące.

— Ktoby to był ten człowiek śpiesznie idący? pytałam Bini. I dla czego to biedne płaczące dziecko tak krok w krok postępuje za nim?

Binia spojrzała w kierunku mojej ręki i rzekła:

— To zapewne lekarz, którego to dziecko prowadzi do chorej matki lub złożonego w niemocy ojca.

Patrzyłam na człowieka śpieszącego z pomocą tam kędy był płacz i niedola, a gdy zniknął mi z oczu zapuściłam wzrok w głąb obszernego podwórza, obok bramy którego przechodziłyśmy zwolna. Tam zobaczyłam dwóch ludzi, którzy na drobne części rozrzynali piłą olbrzymią kłodę drzewa. Zatrzymałam się na chwilę u bramy i patrzyłam na dwóch traczów. Oba byli już starzy, barczyści i potężnej budowy, zupełnie prawie białe ich brody spadały im na szerokie piersi a ręce grube, żyłaste, obnażone do łokci, z siłą i wprawą poruszały ciężkim narzędziem. Potwarzach ich mimo zimowego chłodu ściekał pot kroplisty; gruba odzież leżała obok nich porzucona na ziemi a zagrzone ciężką pracą muskularne, zda się z żelaza wykute ich ciała, szarą okryte koszulą, rozpościerały szerokie ramiona i pochylały się w takt razem ze zgrzytającą piłą. I dziwna rzecz! widok ten tak prosty, zwyczajny, przykuł do siebie moje oczy, wydało mi się że na czołach traczy leżał majestat pogody a pracujące ich ciała wyglądały szanownie.

— Biniu, rzekłam wszakże to ludzie prości, nieoświeceni, gruba i szara tylko pokrywa ich koszula, po twarzach ich spływa pot zmęczenia. Powiedz mi, cóż im na czoła położyło ten spokój i pogodę a postaci przyoblekło powagą i godnością?

— Praca, odpowiedziała Binia i poszłyśmy dalej.

Poszłyśmy dalej a kędyśmy stąpiły, naprzeciw nas, w koło nas, za nami szli ludzie wszelkiej postaci, rozmaitych twarzy, przeróżnych ubiorów. Jedni z nich szli śpiesznie, niespokojnie patrząc przed siebie, jakby wlepiając wzrok w cel im tylko widoczny inni postępowali zwolna z oczami w ziemię wpatrzonymi jak ludzie, którzy namyślają się nad czemś lub liczą smutki jakie im w piersi osiadły; inni jeszcze krocząc z towarzyszymi pod ramię, szeptali między sobą ciche rozmowy lub rachowali na palcach, może korzyści osiągnięte z dnia upływającego. Tam znowu śpiesznie a cicho przeciska się przez tłum młoda panna z gestą woalką na twarzy. Futerko jej zszarzone, ręka nieokryta rękawiczką, ciemna wełniana suknia, długie już dni pamięta, a ze zniszczonego zarękawka wygląda para książek. To biedna nauczycielka wracająca z lekcji do ubogiego, ale miłego pewnie domu rodziców, bo mimo chłodu i śladów ciężkiej pracy, ładna twarz jej uśmiecha się pogodnie, a krok lekki, pewny i śpieszny. A tu pod schodami kościoła siedzi kobieta chuda, wybladła, odarta, dziecko drżące od chłodu tuli się do jej piersi, dłoń zsiniała wyciąga do przechodniów....

Boże mój! myślałam, ileż tu między tymi ludźmi pracy, piękności, zacności, nieszczęścia, ubóstwa! A my nic, nic o tem wszystkim nie wiemy, i nie widzimy tego wszystkiego przez okna mieszkań naszych przysłonięte adamaszkowymi firankami, ani przez szyby karek tak prędko, prędko mknących przez ulice miasta!...

Nagle Binia silniej nieco pociągnęła mnie za rękę, i ujrzałam się z nią razem pośród obszernego dzie-

dzińca otoczonego wysokimi w kwadrat pobudowanymi murami. Mury te głuche i milczące, setkami niemych okien patrzyły na świat jak smutnymi oczami, z wnętrza ich nie wychodził najmniejszy gwar żyjących, a u stóp ich kamienie któremi wybrukowane było podwórze, gdzieniegdzie wystawały z pod śniegu i szarzały jak glazy grobowe. Odgłosy miasta mało tu dochodziły, cisza rozlewała się dokoła a czuć w niej było smutek dziwny, zaświatową jakąś powagę.

Spojrzałam na Binię. Opuściła ona moje ramię i stała nieruchomie z rękami splecionymi jak do modlitwy, i wzrokiem wpatrzonym w nieme okna gmachu. We wzroku jakim na te okna patrzyła był rodzaj pobożnego uczucia, z za którego przeglądała hołość.

Po chwili piastunka moja zwróciła oczy na mnie i głosem pełnym smutnej powagi zaczęła mówić:

— Tu w tych murach urodziłam się, i dzieckiem małym będąc słyszałam i widziałam jak wnętrza ich nieme dzisiaj, wrzały gwarem głosów młodzieńczych.

Tu ojciec mój zajmował zaszczytne stanowisko, a jam od niego i otaczających go ludzi przejęła do głowy trochę światła, do serca wiele miłości. Dziś...

Wyciągnęła drżącą trochę rękę w kierunku okien.

— A dziś, podchwyciłam, dziś Biniu co jest w tych murach?

Przeniosta na mnie pełne smutku spojrzenie, potem znowu zwróciła je w górę i milcząc wskazała mi dwa okna gmachu.

Jedno z nich miało parę szyb wybitych a przez nie wnikał wewnątrz wiatr zimowy, świszcząc i wstrząsając spruchniałą ramą, drugie wcale już szyb nie miało i wyglądało czarne a puste jak oko trupięj czaszki.

— Pustka! wyrzekła z cicha objęta uczuciem uroczystego smutku.

— Pustka! powtórzyła Binia ze łą w oku i jakby uciekała od miejsca które w niej żal wielki wzbudziło, pociągnęła mnie ku kościołowi którego front wspaniale panował nad jednym z dziedzińców opustoszałego gmachu. Gdyśmy stanęły u stóp kościoła, Binia podniosła znowu rękę w górę i pokazała mi wyryte nad wrotami wspaniałe imię założyciela i niemniej wspaniałą datę opowiadającą przechodniom, że pięć już prawie minęło wieków od pory, w której ręka pobożna świątynię tę na wpół-pogańskię jeszcze ziemi zbudowała Panu.

Weszłyśmy do środka. W głębi pod wielkim ołtarzem kapłan śpiewał psalmy nieszporne a nad głowami naszymi zahuczał organ potężnym, ogromnym, zda się ze wszystkich instrumentów muzycznych złożonym głosem. Binia wskazała mi ten organ!

Potoczyłam wzrokiem po wielkiej sklepionej nawie kościoła z głębi której melodyjną powagą brzmiący wydobywał się głos kapłana, zdjęta: niewysłowionem uczuciem pobożności i smutku jakie w duszę mą lały potężne akordy organu, ukłękłam.....

Przeszłyśmy parę ulic i zbliżyłyśmy się już ku domowi, gdy do uszu naszych doszedł gwar rozgłosny złożony ze śpiewów ludzkich i muzyki kościelnej. Binia zwróciła się w stronę z kąd gwar ten płynął i pociągnęła mnie w ciasną murami otwartą uliczkę, w głębi której wznosiła się oszklona kaplica. Okno kaplicy na oścież były w tej chwili

otwarte a przez nie zwieńczone światłem jarzącym widniało oblicze Bogarodzicy.

To miejsce znałam już dobrze bo nieraz w niem byłam z matką, ale nigdy nie wydało mi się ono tak jak teraz rzewnem i uroczystem. Ciasną uliczkę zalegały klęczące tłumy, mnóstwo oczów tkwiło w świętym obrazie pod stopami którego, chórem śpiewali księża, gdzieniegdzie widać było twarze łzami zalane i słychać płacz wyrwyjący się z piersi.

— Oto szepnęła Binią pochylając się nade mną, to widzisz przed sobą jeszcze jeden pomnik wiekowy. Tu lud zmęczony przychodzi cudami wstawionego ołtarza błagać o leki na zagojenie ran swoich. To słodkie oblicze Marji przez długie wieki patrzy na tłumy korne i rozmodlone, które w niej widzą symbol wiary.

Majestatycznym chórem podniósł się w górze śpiew księży i szept Binią zagłuszył.

Ze wzrokiem przysłonionym ciągle wilgotną mgłą wzruszenia, stanęłam u bramy mieszkania naszego i raz jeszcze rzuciłam spojrzenie na rozstaczającą się przede mną ulicę miasta. Dzień kończył się a miasto zadumane, poważne w zmrok zapadało wieczorny. Nad dachami wysokich kamienie wisiła opona mgły szarawej, a wysokie wieże kościołów przebijały ją szczytami i ukazywały gdzieniegdzie błyszczące krzyże złote, niby godła nadziei świecące pod niebem dla grodu co się pograżyły w ciemnościach. A ja ucho me nastawiłam w stronę wązkiej uliczki z kaplicą.

Z tym dźwiękiem brzęącym w uchu i sercem pełnem nieznanego dotąd wzruszenia, weszłam do mieszkania i pobiegłam co prędzej do pokoju mojej matki. Pragnęłam zdać jej sprawę z mojej po mieście wędrówki i podzielić się z nią uczuciami jakie mię przejmowały. Ale na progu stanęłam zmieszana. Matka moja siedziała na sofie z wyrazem przykrego uczucia na twarzy, przed nią w pełnem uszanowaniu oddaleni siedzieli na krzesłach dwóch ludzi. Jednym z nich był ów żyd którego już wprzód widziałam raz w pokoju mojej matki, drugim nieznanym jakiegoś mężczyzna w wytartym surducie z twarzą niemłą i grubemi rękami. Matka moja miała przed sobą zwój papierów, które przebiegała niespokojnym jak mi się zdawało okiem, a dwaj ludzie których niezgrabne i brudne postacie dziwnie odbijały przy bogatym umeblowaniu pokuju, patrzyli na nią badawczo i porozumiewali się z sobą zagadkowemi spojrzeniami.

Posłyszawszy szelest mojej sukni, matka moja podniosła wzrok od papierów i zwróciła go na mnie.

— Gdzie to byłaś, Wacławo? spytała, całe trzy godziny nie było cię w domu.

Głos jej gdy to mówiła surowszy był niż wprzód, a faldy leżały na jej czole smutne i głębokie.

— Pragnęłam obejrzeć miasto, moja mamó, odrzekłam nieśmiało, i zwiadałam z Binią miejsca godne widzenia.

— Mogłaś to uczynić jeżdżąc powozem, rzekła matka — wiesz dobrze że młodej panie nie uchodzi pieszo błąkać się po mieście.

— Chciałam lepiej widzieć wszystko odbywając pieszo tę przechadzkę...

— To mogłabyś przynajmniej wziąć z sobą lokaja.

— Chodziłam z Binią mamó...

— Dobrze wychowana panna w ostateczności tylko może wychodzić z domu pieszo i bez matki, a w takim razie lokaj powinien iść za nią...

Nie pojęłam odrazu dla czego lokaj stosowniejszym był do towarzyszenia mi na ulicę jak moja dobra, rozumna Binią.

Ale nie mogłam czekać wytłomaczenia od mojej matki, bo spuściła znowu oczy na papiery a ja oddaliłam się spiesznie z przykrością, czując ciężący na

sobie, ciekawy i jak mi się zdawało szyderski nieco wzrok żyda i nieznanego jego towarzysza w wytartym surducie.

Obaj ci ludzie w godzinę zaledwie potem opuścili pokój mojej matki, która znowu jak po pierwszej bytności złowrogiego Izraelity, przez cały wieczór miała migrenę. Ja zaś zamyśliwszy się nad upomnieniem jakie mi dała matka przyszedłam do wniosku, że towarzystwo ugalonowanego lokaja zalecane mi przez nią, miało być jedną ze szmat tej pozłacanej szaty bogactwa i świetnej pozycji, jaką matka moja tak pilnie starała się okrywać mnie i siebie. I przyszło mi na myśl, że ów żyd którego odwiedziły sprawiły zawsze mojej matce migrenę i nieznanego jego towarzysza, zdzierali z niej zapewne tę szatę pożądaną...

Z nieokreślonym smutkiem w sercu przegawędziłam z Binią cały wieczór i spostrzegłam, że w opowiadaniach moich w których przedstawiałam jej świat mi znajomy, powiele razy powtórzyło się imię p. Lubomira.

Wdzięczną mu byłam za to, że nasunął mi myśl zwiedzenia starego grodu i napojenia się temi pięknymi wrażeniami jakich doświadczyłam; myślałam o nim długo, rozbieierałam w myśli rozmowy jego szlachetne i wzniosłe słowa, które wypowiadał kwieciste a obficie, uznałam go bezwarunkowo wyższym i zacniejszym niż wszyscy ludzie których dotąd znałam i usnęłam czując, że na gruncie mego serca spragnionego wiary, miłości i uczuć pięknych kiełkuje nowy kwiatek podobny do tych dwóch pierwszych, które opadły z listków i nad grobami w jakich je pochowałam, sterczały nagiemi łodygami smutnego wspomnienia.

XLVIII.

Nie potrafię już teraz z powikłanego pasma wspomnień oddalonych, wysnuć pamięcią jednolitą nieci która zwolna, stopniowo wiodła mię znowu w zaczarowane krainy marzeń i poetycznych rojeń o miłości.

Pan Lubomir bywał u nas często, zawsze jednako melancholijną miał pozę, długie włosy jego zawsze mu w romantycznym nieładzie opadały na czoło, a on odrzucał je w tył niedbalem głową wstrząsaniem. Ale więcej niż zagadkowa melanholja którą od stóp do głowy był obleczony, więcej jak długie zadumy w które często zapadał i w których lubił oddalać się od towarzystwa, więcej niż wszystkie te zajmujące pozory zdające się mówić o duszy poetycznej, rzewnej i umyśle nurtowanym wysokimi myślami, pociągały mię ku niemu słowa jego szlachetne, pełne zapatu, które zdrojami z ust mu płynęły opiewając wielkie braterstwo ludzi, potęgę miłości, wdzięki przyjaźni lub grzmiąc oburzeniem na przesady próżność, błaostki, niestałość. Serce moje czujące niczem niezatamowane porwy do wszystkiego, co lubo nieznanne i niepojęte dobrze przeze mnie, widniało mi zdala szlachetnością i cnotą, wtorowało tym mowom jego przyspieszonym biciem. Głowa moja w której najgłębszym gdzieś kąciku leżało niewyraźne lecz razem z duchem mojem zrodzone pojęcie o prawdzie, chłoneła jego słowa płynne a podniosłe. Wyobraźnia obudziła się do pracy nowiej, i wieńcami z tęcz uplecionemi poczęła znowu wieńczyć piedestał na którym nowy zjawił się ideał, a pierś oddychała coraz szerzej, coraz pełniej i głębiej, polykając wraz z otaczającym powietrzem technicizacji wiary i uczuć gorących jakich była spragniona.

Tylko czasem w godzinach późnego wieczoru, gdy sama jedna udając się na spoczynek siadywałam w sypialni mojej w miękkim zanurzona fotelu, z pomiędzy cieniów jakie zmieszane ze smugami bladego światła błąkały się po ścianach pokoju, wypełzała brzydka, drżąca, szyderczo-usta mara niewiary, zwątpienia.....

Wtedy przykładając rękę do czoła i odtwarzając pamięcią pierwszy ideał mój nielitościwie stracony z piedestału, porównywałam go z tym który coraz silniejszą stopą podnosił się nań teraz. Odtwarzałam pamięcią człowieka który był bohaterem mój wyobraźni, a którego potem ujrzałam skieletem odartym z ciała, o kościach poczerzniętych od plam gangreny i czyniłam porównanie między nim a tym, co odziany zbroją rycerską stawał teraz przed myślą moją. Przypominałam sobie słowem Agenora, stawałam obok niego Lubomira i wołałam: jakaż wielka między nimi różnica! Agenor był bez zaprzeczenia piękniejszy, dowcipniejszy, świetniejszy od dzisiejszego władcy moich marzeń, ale ten o ileż bardziej zajmującą miał powierzchowność. Agenor posiadał dźwięk głosu którego mistrzowskie melodyjne modulacje rozmarzały mię i upajały, ale Lubomir wygłaszał szczytne myśli co umysł mój i serce unosiły w siódme niebo zachwytów. Tamten słowem, myślałam sobie, był pociągającym, światowym, zręcznym i świetnie ułożonym człowiekiem, tego dusza objawia mi się piękną i wzniosłą i czuję, że duszy mojej bratnią ma naturę. Czyż dla tego żem się raz lub dwa razy zawiodła, mam wątpić o wszystkich ludziach na ziemi? Nie, prawda, dobro, wielkość istnieją na świecie, mówi mi o tem wiara i niestłumione niczem pragnienie serca młodego, które pozbyć się nie może ideałów swoich przeczuty, wymarzonych i wypieszczonych.

Nie, słowa pana Lubomira nie kłamią! kłamać tak płynnie, tak kwiecistym stylem, tak podniosłemi wyrazami nie umieją chyba ludzie.

Lubomir jest w istocie człowiekiem wyższym, niepospolitym, jednym z tych ludzi może, którzy według słów mego ojca, wielkością swą przyswiecają ziemi jak zrzadka rozsiane lecz szeroko rozpalone pochodnie.

Po takim szeregu wątpiwości, pytań zadanych samej sobie i odpowiedzi na nie, porywałam za baraki brzydka marę zwątpienia, rzucałam ją pod stopy i deptałam jak zjadliwą żmiję, która zjadliwym swym żądłem chciała mi zatruć chwile marzeń rozkosznych i podciąć kwiat nowego uczucia w mem sercu, rozwijający coraz szerzej kielich swój podobny do czystej ku niebu patrzącej lilji.

Tak, kwiat ten nowy w sercu mem rozkwitający, w samo niebo patrzył i ku niebieskim kierował wysokościami. Porzuciłam płochą zabawę w miłość i wrażenia, jaką wraz z towarzyszkami memi wiodłam bezmyślnie przez parę miesięcy, stanowezą dałam odprawę i panu Ignacemu o wystudjowanych pozach, i dowcipnemu panu Julianowi i całej rzeszy moich quasi adoratorów salonowych. Na tańczących zebraniach nawet czułam się poważniejszą i bardziej ochotną do zamyślenia się niż do piasów: a często, bardzo nawet często w uchu mem brzmiał potężny głos pamiątkowego organu, budząc mi w duszy tęskne o przeszłości dumy, przed wyobraźnią moją stawał obraz opustoszałych podwórzy umarłej wszechnicy i wprawiał mię w długie chwile niewyraźnych a smutnych rozmyślań. Nieraz z rozmyślań tych budziła mię matka pieścizotliwym uderzeniem po ramienia, lub czułym pocałunkiem w czoło.

— Wiem o czem tak się zamyślasz, mała marzycielko, mówiła wołając grożąc mi palcem. Nie troszcz się, nie tęsknij! zobaczysz Lubomira dziś na wieczorze...

rze u p. Natalj a moze jeszcze i przed wieczorem od-
da nam wizyte.

Krylam twarz zarumieniona na piersi matki, a ona
smiejac sie i glaszczac moje wlosy mowila jeszcze:

— Daj Boze, Waclawo, aby cos rzeczywistego
wyszlo z tych twoich marzen nowych! Ja nie nie
mam przeciwko Lubomirowi, wydaje mi sie zacnym
i rozumnym czlowiekiem a przytem to dobra partja!

Bog mi swiadkiem, ze nie myslalam o tem czy Lu-
bomir dobra stauowi partje, i pytalam tylko niekiedy
niesmialem okiem twarzy i oczu Lubomira, o wra-
zenie jakie czynie na nim. Pytalam czy on we mnie
odkrywa bratniego ducha jakiego ja w nim widzia-
lam, czy ja moge byc dla niego idealem takim jak-
im on stopniowo i coraz bardziej stawal sie dla
mnie? A twarz i oczy p. Lubomira mowily mi ze tak
bylo.

XLIX.

— Im wiecej wzrastala sympatja moja dla Lubo-
mira i wysokie moje o nim wyobrazenie, tem silniej
pociagana sie czulam do mlodziuchnej siostry jego
Zosi. Zdawalo mi sie, ze przestajac z nia czesto
zblizam sie do niego, a zreszta lubilam sluchac jak
mi w pelnych miosci slowach mowila o bracie swym,
ktorego przecie malo znala, bo nie hodowali sie ra-
zem i zaledwie teraz od kilku tygodni codziennie wi-
dywac sie zaczeli. Niemniej jednak Zosia wezsnie
po rodzicach osierociala, wychowana w domu wujo-
stwa, ktorzy lubo dobrzy dla niej ojca i matki zastapic
nie mogli, spragniona byla uczuc rodzinnych
i brata wracajacego z dlugiej podrózy, przyjela z pół
dziecinna naiwna i namietna siostrzana czulością,
z zapelnym przygotowaniem do ujrzenia w nim pra-
wdziwego ideału męzczyzny, brata, opiekuna i obro-
niciela mlodej siostry.

A cóz dopiero, gdy z ust jego poslyszala wychodzą-
ce zdroje tych slow szlachetnych i podnioslych, które
i mnie zachwycily. Uwierzyła wtedy w brata
jak w swiętosć, i najwieksza dla niej radością bylo
mowic o nim z zapalem. Tę radość dostarczalam
jej czesto, bo po kilka godzin przesiadywalam u niej
sam na sam w jej slicznym podobnym do mego ga-
bineciku, a rozmowy nasze jak ziemia około swęj osi
obracaly sie około imienia Lubomira.

Zosia byla slicznym, slodkiem, potulnym stworze-
niem, miala drobne i delikatne ksztalty, swiatlo
blond wlosy i cerę twarzy przezroczysta a zadziwia-
jacej bialosci. Glówna cechę układu jej i wyrazu
twarzy, stanowila lagodnosć i rodzaj dziewiczego,
tesknego rozmarzenia. Ale z za lagodnosci i slodyczy,
kiedy niekiedy przebijala sie energia a z za rozma-
rzenia wygladala duszyczka mloda, niesmiała ale
myslaca, ciekawa, pragnaca wszystkiego co dobre,
prawdziwe, idealne. Te rzuty energii hardo zgi-
najace drobne pasowe usteczka Zosi, te pojawy my-
sli pojetnej i ciekawej, napełniajace jej wielkie, pelne,
szafrowe oczy wyrazem zamyślenia lub srebrnymi
iskierkami zapalu, byly niby przeblyskami wewne-
trznej jej najgłębszej natury, czegos co na dnie istoty
jej lezalo niewyrobione jeszcze, niedojrzałe
i szukajace dopiero sobie miejsca pod słońcem. By-
ly to znaki w ktorzych przyszlosć dziewczęcia obja-
wiala sie nagle i z rzadka, przez które widziec można
bylo w czystej i naiwnej piersi w półdziecka, kieł-
kujaca energiczna, uparta, moze namietna, myslaca
i na drogach ziemskich po swojemu majaca stapac
kobietę.

Tymczasem jednak przyszla energia Zosi drzema-
la jeszcze w jej wnętrzu, budzac sie kiedy niekiedy
tylko i jak przez okienko wygladajac na swiat przez
biala twarzyczkę, aby wnet znowu usnac spokojnie

w piersi dziewicy — dziecka. Zosia ciekawemi lecz-
ufnemi oczami patrzyła na swiat Bozy, co niedawno
otworzył sie byl przed nia; kochala kwiaty, muzykę
poezję i marzyła... w marzeniach zaś jej stala za-
wsze jedna postać męzka malo znana, lecz która wy-
obraźnie jej przykuła do siebie i wzbudzila w niej
pierwszy poryw serdeczny.

W drugiej czy trzeciej poufnej i tajemniczej ze
mna pogadance, Zosia zwierzyła sie przede mna, ze
bohaterem jej marzen byl ów prawnik mlody, pan
Wladyslaw N. który tak wyraźnie zajal sie byl nia
na balu w Rodowie, a ktorym zajac sie wzajemnie
surowo jej wuj zabronil.

Siedzialysmy w slicznym pokoiku Zosi na sofie
obitej błękitną materją, pośród dwóch wielkich drzew
oleandrowych lacujacych sie rozlozystemi galęziami
i tworzacych rodzaj altany. Trzymalysmy sie za
rece i rozmawialysmy z soba cicho szeptem prawie.

— Waclawo, mowila Zosia zlotowlosa swą głow-
kę pochylajac na moje ramie, tyś daleko rozumniej-
sza ode mnie, pierw w swiat wyszlas, doświadczy-
las przejsc jakich ja nie doświadczyłam jeszcze. Po-
wiedz mi wiec bo moze wiesz o tem, dlaczego z tłu-
mu otaczajacych nas ludzi, wyroznia sie niekiedy je-
den czlowiek, spojrz na nas, my na niego spojrzy-
my wzajem, przemowi slowo jedno, drugie, krótkie
slow parę i odejdzie, ale pamigę o nim na zawsze
już w nas pozostanie. Dlaczego on wlasnie a nie
kto inny staje wciąz przed wyobraźnia naszą w chwila-
ch marzenia? W snach ukazuje sie piękny, szla-
chetny, oko nasze jego już tylko szuka między mnó-
stwem napotykaných ludzi, a ucho nasze jego pra-
gnie głosu i z całej siły przywołuje do duszy dźwięk
ten, raz króciuchną chwilkę tylko zastyszany? Po-
wiedz mi dla czegos nikt, nikt z otaczajacych mnie tak
licznie męzczyzn, nie wzbudzil we mnie sympatji
niezachwycil mej wyobraźni, nie przyspieszil bicia
mego serca... tylko on, on jeden?..

— Moze dla tego tak jest, odrzeklam w zaduma-
niu nad pytaniami towarzyski, moze dla tego tak
jest, ze on lepszy, szlachetniejszy, rozumniejszy od
innych?

— Nie wapię, o, nie wapię o tem! zawolala Zo-
sia splatajac biale i drobne rece na błękitnym stani-
ku sukienki. Nie wapię o tem ze on najszlachet-
niejszy, najlepszy ze wszystkich jakich znam ludzi.
Pewnosć ta to wiara moja, to spokój mój, to rozwią-
zanie dziwnych zagadek jakie tak tłumnie stanęły
przede mna gdym w swiat wstapila. Ale powiedz
mi droga, zkąd wzięła sie pewnosć ta u mnie?
Zkąd wiem ze on jest takim? Wszakze znam go
tak malo!

Długo myslalam nad tem nowem Zosi zagadnie-
niem, a mysl moja odwróciła sie od niej a
pobiegła pamiecia w wlasną swą niedawną prze-
szlosć. Przypomniałam sobie bal w Rodowie,
park cienisty, w parku grotę oświetloną lampką bla-
dawą a u wejścia do groty stojacego hr. Witolda.
I zapytalam siebie: zkąd w chwili owej zrodzila sie
we mnie tak niezmierna, wielka, niezachwiana pew-
nosć, ze czlowiek ten nosi prawde w sercu a wielkie
w głowie myśli? Dlaczego odtąd zjawial sie on
w snach i marzeniach moich wtedy nawet, gdy
w sercu mem i wyobraźni kto inny królowac się zda-
wal? Nie byłze to ten sam wypadek, to samo dzi-
waczne zjawisko duchowne o ktorego znaczenie i po-
wody pytala mnie Zosia?

Myśląc podniosłam oczy w górę, i zobaczyłam jak
z dwóch drzew oleandrowych wysuwaly sie dwie
najbogatsze i najzdobniejsze galęzie, i chylily sie ku
sobie jakoby pragnęły zlaczyc sie z soba pocałun-
kiem zielonych listków. Ale przestrzeń dosć zna-
czna dzielila je, a na jednej z nich niby teskny zroz-
paczony okwital bujny kwiat blado różowy.

Popatrzyłam na te dwie kloniace sie ku sobie ga-
lęzie, a myśli różne tłumnie zaczęły tłoczyc sie do
mej głowy. Potem spojrzalam na Zosię, która pa-
trzyła na mnie ciągle swemi lagodnymi, ciekawemi
w tej chwili smutnymi troche oczami i rzeklam:

— Alboż ja sama wiem jak odpowiedziec na py-
tania twoje, Zosiu droga? Wszakze jestem takze
istotą niedawno w swiat rzuconą, i z ciekawością a
niepokojem pragnaca wyczytac sfinksowe jego za-
gadki i tajemnice. Wszakze sama nieraz lamie sie
z myslami, rojeniami, pragnieniami ktorzych dobrze
nie rozumiem, a które jak stado ptaków wichropio-
rych tłumnie zlatuja mi do głowy i piersi. Zkąd?
nie wiem. Moze z nieba, moze z jakichs krain za-
swiatowych z ktorzych na tę ziemię przyszlam, moze
z nieznanych sfer przyszlosci mojej która mi je przy-
syla jako przecucia, zapowiednie, prorocтва tego
czem bede i jaka bede?... Na pytania wiec twoje,
nie moge, nie umiem odpowiedziec jasno, bo i prze-
demną samą jeszcze pytania podobne nierozświeco-
ne zupełnie stoją. Ale spojrz, widzisz te dwie ga-
lęzie które mimowiednie gną sie i chyla ku sobie.
Moze tak samo na drogach ziemskich spotykaja sie
dwie dusze ludzkie i mimo wiedzy, mimowoli, prze-
czuwajac ze są siostrami, ze są dla siebie wzajem
stworzone, dają aby sie zlaczyc w jedną mysl, w je-
dno uczucie, w jeden żywot. A moze jeszcze, moze
bywaja na swiecie ludzie, ktorzych duch wielki tak
wyraźnie osiada na czole i przez oczy spoglada, ze
już nie sposob go nie zobaczyc; ze ujrzec i poznać
moze każdy kto ma serce nieskazone i pragnie pię-
knych tej ziemi widoków...

Zosia objęła mnie ramionami i sliczną głowę swą
przytulila do mej piersi.

— Czyś go widziala kiedy po owym balu? spy-
talam.

— Dwa razy, odrzekla Zosia. Raz w domu krew-
nych przepedzilam z nim kilka godzin, drugi raz
spotkalam go w ogrodzie miejskim i przemowilysmy
do siebie slow kilka. Ale zawsze wuj rozlaczal nas
usilnie a potem mowil mi, ze źle postepuję zblizajac
do siebie czlowieka, ktorego żoną zostac nie po-
winnam.

— To okropnel zawolalam. Dla czegóz nie po-
winnas? Ale przecie Zosiu, dodalam z tajemnem
serca drzeniem, teraz nalezysz wiecej od brata jak
od wuja?

— Tak! tak! odrzekla z blaskiem radości na twa-
rzy, to tez czekam tylko chwili w której Lubomir
pozna Wladyslawa... oni poznawszy sie ocenia wzaj-
em... jednak obaj szlachetni, zacni, rozumni...
O Waclawo, dodala tak cicho ze ledwie doslyszeć
ja moglam, jakbym ja go kochala, jakbym ja go
bardzo kochac mogla!..

W kilka dni po tej rozmowie Zosia wbiegla do
mnie z ozywiona i radośna twarzą:

— Waclawo! szepnela mi na ucho gdyśmy zo-
staly same, wczoraj Lubomir poznal pana Wladyslawa
na tańcujucej publicznej zabawie, na której by-
lam z wujenka a dzis pan Wladyslaw byl u nas z wi-
zyta.

— I cóz, czy nie zmieniony w swęj sympatji dla
ciebie? spytalam. Zwiększony rumieniec Zosi i min-
ka jej filuterno-radosna odpowiedzialy mi za nia.

— A pan Lubomir? spytalam jeszcze.

— O! Lubomir! zawolalo "dziewczę; jakze mo-
zesz przypuscic aby nie ocenil pana Wladyslawa.
On tak szlachetny! tak pozbawiony wszelkich prze-
sądów!

W istocie, tego samego dnia jeszcze slyszalam
jak Lubomir w dosć liczny towarzystwie pochleb-
nie wyrazal sie o mlodym prawniku, a potem dodal
ze zwyklym sobie zapalem w głosie i szlachetnym
gestem.

— Tak, moi państwo! pękają już mury średnio-wiecznych przesądów, które wbrew postępowi jakie uczyniły inne narody, u nas dzieliły dotąd ludzi na stany i kasty. Dziś praca uszlachetnia! Dziś w oświeconych krajach poczciwy biedak więcej wart od nieuczciwego bogacza! Równość, panowie równość w obec prawa i światła, to dewiza wieku naszego! Precz z przesądami! przyjmujemy do naszego koła ludzi pracujących głową i rękami! Dziś ten największy arystokrata kto najszlachetniejszy i najużyteczniej pracuje, i w każdym razie, idea ta znajdzie we mnie filar i podporę!

Te i tym podobne słowa obfitym kwiecistym zdrojem płynęły z ust Lubomira. Ja rosłam z radości słuchając ich, Zosia płonęła szkarłatnym rumieńcem szczęścia i że czią prawie patrzyła na brata. Reszta obecnych osób z rozmaitem wrażeniem przejmowała szlachetne jego słowa, ale z ustami Helenki zdawało się że zrosł się na wieki półfiglarny pół smętny jej tylko właściwy uśmiezek ironiczny. Z tym uśmiezkiem patrzyła wciąż na mnie, aż narreszcie znalazłszy potemu sposobność wzięła mnie pod rękę i szepnęła:

— A co? Waciu? Ideał coraz silniejszą stopą opiera się na swym piedestale?

— Tak jest, w istocie! odpowiedziałam z rodzajem przekory.

— Szczęśliwego powodzenia! zaśmiała się z cicha Helenka. A ideałowi jak najmniej srogiego życzę upadku.

Czułam się niemal urażoną na Helenę za jej niedowierzenie w szlachetność i szczerłość Lubomira, a przytem żarty jej i przeglądającą przez nie gorycz, mroziła mi w piersi kwiat który w niej coraz szerzej rozkwitał i wywoływała brzydką marę niewiary i wątpliwości, z jaką i tak w chwilach samotnych boleśnie staczałam walki. Zaczęłam więc unikać pięknej i dobrej a tylko nieco zaironicznej mojej towarzyski, przez co tembardziej jeszcze zbliżałam się do Zosi. Ona to przeciwnie swemi pełnymi wiary i czei prawie rozmowami o bracie, zwiększała moja dla niego sympatię, utrzymywała mnie w przekonaniu, że słowa jego które mnie zachwycaly były w istocie wiernym obrazem jego duszy wyższej nad pospolitość, gorącej, pełnej uniesień szlachetnych.

Coraz bardziej przytem zaciekała mnie melancholiczna powierzchowność p. Lubomira, ostłonka tajemniczego smutku która go okrywała od stóp do głowy.

Raz opierając na dłoni głowę tak że włosy całkiem prawie zarzucały mu czoło powiedział mi.

— Pani! dusza moja chora! szukałem dla niej leków po szerokim świecie i nie znalazłem ich.

— I jakież lekarstwo uzdrowić może duszę pana? spytałam nawpół żartując nawpół ze wzruszeniem.

— Miłość! stłumionym głosem odpowiedział Lubomir, a przytem spojrział na mnie z takim wyrazem, że byłabym chyba ślepą gdybym nie zrozumiała, że lekarstwo te pragnął wziąć z mojej ręki.

Zarumieniłam się i zmieszalam, lecz czując że nie wypadało milczeniem kończyć podobnej rozmowy, szepnęłam sama nie wiedząc prawie co mówię.

— Ależ wyrazu tego tak często nadużywają ludzie.

Lubomir zerwał się z siedzenia i wstrząsnął głową dla odrzucenia swych długich włosów.

— Ci co tak czynią, zawołał z oburzeniem w głosie z gestem szlachetnym, są to bluźniercy, ludzie którzy świętokradzko depczą najpiękniejsze kwiaty życia! Miłość to święty wyraz! Miłość może być tylko jedna, wierna, prawdziwa, bezinteresowna, trwająca do grobu a nawet za grobem jeszcze...

Nie skończył bo do pokoju wbiegła garderobna moja Zosia, przynosząc mi list od jednej z przyjaciółek. Ujrawszy gościa o którym nie wiedziała że

był w salonie, zarumieniła się i zmieszana stanęła w progu. Zal mi się jej zrobił, przemówiłam do niej słów kilka i rękę po list wyciągnęłam. Dziewczyna przeszła całą długość salonu aby mi go podać, a gdy odwróciła się spostrzegłam, że pan Lubomir patrzył na nią bacznie i przeprowadził ją spojrzeniem aż do drzwi, przyczem uważałam, że w zamyślonych jego źrenicach błysnęło parę iskierek. Byłam pewna że pan Lubomir z niechęcią patrzył na biedną dziewczynę, i że oczy jego zapłonęły gniewem za to, że przerwała nam miłą i wiele znaczącą rozmowę o miłości.

L.

— Tegoroczny sezon obfity będzie w zawarte marjaże, mówiła żywo p. Kamilla, swemi błyszczącymi czarnymi oczami półzyczliwie pół filuternie zerkając na Zenię S. i na mnie.

— Będziemy miały zręczność zabawić się na kilku weselach, potwierdziła strojna pani Celina a spojrzenie jej pięknych i błękitnych oczu, najwyraźniej przemknęło znowu po twarzy Zeni i mojej.

W istocie nikomu z towarzystwa naszego tajemnie było, że o Zosię stara się p. Michał o mnie zaś p. Lubomir i ani jednej osobie nie przyszło do głowy, aby którakolwiek z nas odmówić mogła młodzieńcom, z których pierwszy stanowił dobrą partję pod względem funduszu, drugi zaś pod względem i funduszu i rodu i oryginalnej a przez to zajmującej indywidualności.

— Tobie Wacławo zawsze najlepsza się cząstka dostaje w udziale, mówiła mi ze śmiechem jedna z towarzyszek niezmiernie żywa i prawdomówna panna; słyszałam że gdy mieszkałaś na wsi, starał się o ciebie piękny i świetnie nazywający się Agenor W. Odmówiłaś mu kapryśnico... aż tu oto znowu spada ci konkurent z podobnie pięknym imieniem, do tego bogaty i taki wykształcony i jakiś niepospolity.

Zeni zaś Helenka prawła z komiczno-ironiczną powagą.

— Brawo, Zeniu, brawo! ani obejrzyj się jak będziesz już żoną p. Michała! Chociaż nie zazdroścę ci ale wiesz z całego serca. Fruniesz sobie po ślubie za granicę, dostaniesz w wyprawie z półtuzi- na aksamitnych sukien, a potem będziesz panią całą gębą na krociovym majątku twego małżonka.

Na mnie żarty te i domniemania otaczających osób nie sprawiały bynajmniej przykrego wrażenia. I owszem czułam się szczęśliwą w tajemnicy mego serca, a przytem dumną że człowiek tak niepospolity i wyższy nad mężczyzn jak Lubomir, zwrócił na mnie jedną, uwagę. Ale z Zenią inaczej bywało. Niecierpliwiły ją i gniewały alluzje czynione tak wyraźnie przez panią Kamillę i Alinę, a żarty towarzyszek i wpół ironiczne powinszowania Heleny w formalną złość wprawiały.

— Poczekaj jeszcze poczekaj! odpowiedziała Helenie ze marszczonym czołem i błyskającymi oczami. Być może iż wiesz mi zamąpójście za p. Michała, zrywasz gruszki na wierzbie; być może iż ja za niego pójsę nie zechcę!

— Oho! wołała śmiejąc się piękna Helenka, alboż ja cię nie znam moja Zeniu! Ty byś poszła za niedźwiedzia przybyłego wprost z puszczy Białowiejskiej byle tylko zyskać rozrywkę, wyrwać się z domu i zdobyć swobodną i jak ci się dziś zdaje szczęśliwą pozycję mężatki...

Zenia robiła obrażoną minkę i odwracała się od Helenki.

— Czy jeszcze się nie oświadczył? pytałam z kolei Zenię na ucho.

— Jeszcze nie, odpowiedziała, ale to dla tego że sama nie daje mu przyjść do słowa, a wiesz przecie jak jest nieśmiały i niezręczny. Ale przewiduje

lada dzień katastrofę której długo już wstrzymać nie będę mogła.

— I dla czegoż wstrzymywać ją pragniesz? przecie zdecydowana jesteś wyjść za p. Michała skoro się oświadczy?

— Ot tak jakoś! odrzekła Zenia z chmurą na czole, machnęła ręką i odeszła w kącik pokoju gdzie usiadłszy podparła ręką głowę, i siedziała z pół godziny milcząc ze wzrokiem w ziemię utkwionym.

— Patrzcie! patrzcie! wołała wskazując na nią Helenka, co też to za cuda miłość dokazuje! Czy poznajecie Zenię? co do mnie nie poznaję jej! Ani razu od dwóch godzin jak jest tu z nami, nie usiadła po swojemu na poręczu fotelu, ani jednej nie wygłosiła nam tirady z żadnego z francuzkich romansów, a zamiast biegać po pokoju z kąta w kąt jak to zwykła czynić, siedzi tam z podpartą głową i zasznurowanymi ustami.

— To prawda! zawałało parę głosów. Już teraz to z pewnością można powiedzieć, że Zenia zakochana na zabój w p. Michale. Co też to za cuda miłość dokazuje!

Zenia zerwała się i wybiegła na środek pokoju.

— A dajcież mi pokój z waszemi żartami i z waszą miłością, krzyknęła z rumieńcem na twarzy i błyskawicami w oczach, bo jak mamę kocham jeśli będziecie mię dłużej tak drażniły i niecierpliwiły, zabiorę się i ucieknę od was i nigdy z wami rozmawiać nie zechcę!

To mówiąc skierowała się ku drzwiom jakby wyjść chciała, ale że to działo się w mojem mieszkaniu, poskoczyłam, pochwyciłam ją za rękę i pociągnęłam z sobą na sofkę, stojącą w rogu pokoju oddaloną nieco od okrągłego stołu w koło którego nad ilustrowanymi dziennikami i spadkami konfitur, siedziały nasze młode towarzyski.

Pocałowałam Zenię w usta i rzekłam do niej:

— Dla czegożeś się tak rozgniewała kochana Zeniu? przecież wiesz że cię wszystkie szczerze kochamy a żartowałyśmy sobie ot tak! przez nieuwagę i wesoły humor, bynajmniej nie chcąc obrazić się przez to!...

— Ach! szepnęła Zenia ściskając moją rękę, nie uwierzysz Wacławo jak bolą mię te żarty, jak mię drażni każde napomknienie o stanowczym kroku tak zbliżka mię czekającym. Ja i tak walczę z sobą.

Powiodła ręką po czole a w oku jej mignęła łza...

W istocie znać było że walczyła. Zbladła, spoważniała, humor jej zmienił się do niepoznania. Pomimo to jednak p. Michał asystował jej wiernie i wytrwale, zdawało się nawet że już nie tylko chciał się z nią żenić dla stosunków, ale że naprawdę pokochał dobrą i miłą dziewczynę a ona nieodpychała go, nie zrażała do siebie niczem, niekiedy tylko obojętna i zamyślona po kilka minut nie odpowiadała na pytania jakie jej zadawał.

Obok zaniepokojonej, osmuconej i walczącej Zeni, jakby dla kontrastu, widywałam coraz pewniejszą nadziei Zosię. Parę razy opuszczając z matką dom jej Wujostwa, spotkałam wchodzącego Władysława N. a przy bliższym przyjrzeniu się więcej jeszcze podobał mi się jak wprzódy. Twarz miał piękną, prawdziwie mężką, z rozumnym otwartym czołem i wielkim pogodnym myślącym okiem. W całej postaci jego i wszystkich ruchach wyrażała się szlachetność, pewność siebie a nawet łatwość układu mogąca otworzyć mu drzwi najwykwintniejszych salonów. Nie dziwiłam się wcale że Zosia tak żywo była nim zajęta, ale nie miałam zręczności bliżej poznać p. Władysława, bo ani razu nie zobaczyłam go na żadnym z licznych wieczorów, wieczorków i objadów wydawanych przez Wujostwa Zosi. Gdy zapytałam ją raz o powód tego wykluczenia

młodego prawnika z grona zapraszanych gości, odpowiedziała mi z przelotną chmurką na czole:

— Widzisz, Wacławo, wujaszek i wujenka nie życzą sobie aby Władysław częstym był ich gościem, a przyjmują go dla tego tylko, że prosił ich o Lubomir...

— A więc pan Lubomir polubił p. Władysława? spytałam.

— Bardzo, odpowiedziała Zosia ściskając mię za rękę; obchodzi się z nim przyjaźnie i kilka razy znalazłam pana Władysława w jego pokoju, gdy przyszedłam jak zwykle na poobiednią do niego gawędkę...

Tu Zosia urwała nagle i patrzyła się w przestrzeń szklanymi oczami, jakby uderzona nagłą jakąś myślą. Po chwili szepnęła więcej do siebie niż do mnie. Nie rozumiem...

— Czego nie rozumiesz? zapytałam.

— Tego, odrzekła budząc się z zamyślenia, że za każdym razem jak przychodząc do Lubomira znajdowałam w jego pokoju Władysława, Lubomir zdawał się być niezadowolonym z mego przyścia i wyprawiał mię poprzedzając pod różnymi pozorami.

— Zapewne mieli z sobą, do pomówienia o czemś co nie powinnaś była słyszeć.

Zosia ogniście pocałowała mię za to tłumaczenie w oba policzki. Wyraźnie niepokoiło ją zagadkowe postępowanie brata, a moje słowa uspokoiły ją zupełnie.

Pewnego dnia wbiegła do mego pokoju z takim wyrazem na twarzy, iż byłam pewna że coś ważnego stać się musiało. Długo nie mogła mówić tylko ściskała mi ręce tak mocno jak nigdy, i okrywała mą twarz gorączkowymi pocałunkami.

— Wacławo! Wacławo! zawołała wybuchając nagle, jakam ja szczęśliwa! jakam ja dziś szczęśliwa!

Przycisnęła obie ręce do piersi falującej przyspieszonym oddechem, upadła na sofkę i przymknęła oczy jakby pragnęła oddać się oblegającym ją marzeniom. Po kilku zaledwie chwilach spojrzała na mnie oczami błyszczącymi od łez i radości zarazem, i szepnęła cichutko:

— Waciu! najlepsza przyjaciółko moja! nikomu tego nie powiem ale tobie powiedzieć muszę, bo mam pierś tak przepelnioną uczuciem, że gdybym części jego nie przelała w słowach serce by mi pękło chyba.

Pochyliła się do mnie jeszcze bliżej i w same prawie ucho moje szepnęła,

— Dziś... godzinę temu... powiedział mi że mię kocha!...

Umilkła i znowu przymknęła oczy, a na rzesach jej mgliła się i perliła drobna łezka dodając uroku i rzewności rozmarzonej białej jej twarzy.

Po kilku minutach dopiero Zosia ochłonęła z silnego wzruszenia, pod wpływem którego przybyła do mnie i przyszedłszy do porządku opowiedziała mi o oświadczeniach pana Władysława. Przyszły one jak zwykle podobne przychodzą rzeczy pomiędzy dwojgiem kochających się ludzi, ot tak, z niczego, z jednego jakiegoś słowa, z jakiejś rozmowy o kwiatku rosnącym wazonie czy o obłoczku żeglującym po niebie, oczy ich spotkały się mimowoli, uściskiem połączyły się dłonie i z ust rozkochanego młodzieńca wypłynął czarowny wyraz: kocham. Zosia odpowiedziała mu tym samym wyrazem a potem? potem młody prawnik który posiadał liczną klientelę, dochody równające się tym jakie Zosia pobierać mogła od swego posagu, a przytem imię wcześniej wstawione biegłością w obranym zawodzie i opinią nieskazitelnej uczciwości, miał udać się z prośbą o jej rękę do wuja jej i brata.

Przedewszystkiem zaś do brata. Zosia o ile drżała na myśl o oburzeniu jakiego wuj jej doświadczy

słyszając podobną prośbę z ust człowieka, którego zwał wyrobnikiem, o tyle ufała, że Lubomir ukochanego przez nią młodzieńca przyjmie z otwartymi rękami za brata i przyjaciela i gniew wuja przebłaga, a gdyby go przebłagać nie mógł zabierze siostrę do siebie, osłoni ją swą opieką i sam młodą parę do ołtarza poprowadzi. Stało tedy pomiędzy Zosią a p. Władysławem, że pierwszy Lubomir miał się dowiedzieć o wszystkim, i że dopiero po otrzymaniu jego braterskiego zezwolenia, intruz co tak niespodzianie wstąpił w świat wybranych i ubłogosławionych, wypowie uczucia swe i żądania wujowi swjej ulubionej.

To wszystko ze wzruszeniem i bezładnie, przerywając co chwilę mowę swą wykrzyknieniami i pocałunkami, opowiedziała mi Zosia, poczem uspokojona już nieco uściśnięła mię jeszcze po kilka razy i zabrała się do odejścia.

Wprzód jednak pomiędzy dwoma uściśnieniami szepnęła mi na ucho.

— I z tobą Waciu wkrótce będzie tak samo?

— Jakto? spytałam zmieszana bo o sympatji mej a raczej uwielbieniu dla p. Lubomira, nigdy nie wspominałam przed jego siostrą.

— No, nie udawaj! nie udawaj! będziesz przecie moją najmilszą siostrzyczką! To wiadomo, nie zapieraj się tylko! zawołała Zosia z filuternym uśmiechem i wybiegła z pokoju.

Za progiem żegnając mię ostatecznie rzekła.

— Jutro — ważny dzień dla mnie! zmów za mnie zrana modlitewkę, Wacławo, a o szóstej po obiedzie przyjedź do mnie koniecznie razem ze mną nacieszyć się dobrym skutkiem jutrzejszej rozmowy Władysława z Lubomirem, i abym przed tobą wygadać się mogła... Wybiegła, a mnie serce kołatało w piersi mocno, bardzo mocno. W pół naiwna, w pół namiętna spowiedź Zosi wzruszyła mię do głębi, widok jej szczęścia natchnął mię pragnieniem doświadczenia podobnego, a przytem słowa jej któremi z góry już nazywała mię swą siostrzyczką.. nakoniec wielkość duszy Lubomira który zdołał podnieść się nad wszystkie przesady otaczających go ludzi, tak że aż niezłomną w siebie wiarę tchnął w kochającą się parę, i to szlachetne zadanie jego połączenia tej pary w brew przeszkodom i rozdzielającym ją wyobrażeniom społecznym... wszystko to rozpałało moją wyobraźnię, najtkliwsze uczucia wzbudzało w głębi serca i stawiało przedemną postać Lubomira z czołem promiennem chwałą, i wieńcem bohatera na głowie.....

Tak byłam pełna tych wzruszeń i uczuć, że pragnęłam choćby częścią ich podzielić się z kimkolwiek i udałam się z tem do mojej poczciwej najlepszej Bini.

Piastunka moja siedziała pod oknem swego pokoju, i nie zważając na zmrok który zapadał czytała przez okulary. Gdy weszła przestała czytać i zagadała do mnie ze zwykłą sobie czułością. Usiadłam przy niej i zaczęłam z nią rozmawiać, ale zaledwie wymówiłam imię Lubomira, brwi Bini zsunęły się i mimo zapadającego zmroku spostrzegłam, iż oczy jej błysnęły z za okularów niezadowolaniem czy niepokojem.

— A więc ten człowiek bardzo ci się podoba? przerwała z niezwykłą sobie żywością.

— Bardzo, moja Biniu, odrzekłam szczerze, bo przed nikim nawet przed matką nie byłam zwykle tak otwartą jak przed nią.

Piastunka podniosła głowę, poprawiła okulary, popatrzyła na mnie z bacznością, kilka sekund i wymówiła z cicha. To niedobrze. Wyraz ten niemile mię uderzył.

— Niedobrze! zawołałam, dla czego niedobrze?

— On cię prawdziwie nie kocha moje dziecko, mówiła Biniu powoli i ze smutkiem, co więcej on nie jest prawdziwie uczciwym człowiekiem.

Mówiła to z taką pewnością w głosie, że przykre wrażenie jakiego doświadczyłam przy pierwszym jej wyrazie, zamieniło się w żal i obawę. Ale w krótko usmiechnęłam się niedowierzająco i zwycięzko.

— Moja Biniu, rzekłam, przecie nie znasz Lubomira jakże więc możesz mówić..

— Ja ci nie mówić nie będę, przerwała Biniu, ja ci nawet nie mogę powiedzieć tego co wiem i widziałam, bobyś ani uwierzyć temu nie chciała. Tylko ostrzegam cię abyś nie wierzyła pięknym słowom tego pana, które mi tyle razy z zachwyceniem powtarzałaś, bo pod niemi ukrywa się wiele próżności i zepsucia a mało uczciwości i serca...

Oszlupiałam z zadziwienia i zaczęłam domagać się od Bini aby mi powiedziała co wie i co widziała takiego, coby jej tak złą o Lubomirze dawało opinię.

— Moje dziecko! wymówiła Biniu ze smutkiem i powagą w głosie; dzieją się na świecie rzeczy o których ucho tak czystej dziewczyny jak ty, słyszeć i których oko jej widzieć nie powinno. Dla tego wahałam się z wypowiedzeniem ci tego o czem wiem i przekonana jestem. Ale widząc że naprawdę dałaś się uwieść pięknym słowom tego człowieka i możesz powziąć względem niego postanowienie zgubne dla ciebie, odkładam wszystkie względy na stronę i powiem ci prosto a wyraźnie: Pan Lubomir asystuje ci w salonie i prawi piękne rzeczy z których dorozumiewasz się że cię kocha, a tymczasem zarazem zaleca się do twojej garderobianej Zosi ilekroć ją na potka w przedpokoju, na wschodach, lub na ulicy.

Zerwałam się z siedzenia na równe nogi, fala krwi uderzyła mi do czoła i twarzy, a potem gorącym ukropem zakipiła we wszystkich mych żyłach.

— Biniu! Biniu! zawołałam dłońmi zasłaniając oczy które wśród zmroku nawet na twarz stariej piastunki wstydziły się spojrzeć. To być nie może! to nieprawda! to potwarz! ja temu nie wierzę!

— Nie wierzysz mi? wyrzekła Biniu i z żalem dodała: pierwszy raz w życiu nie wierzysz mi!

— Nie wierzę! odpowiedziałam stanowczo czując sama że w głosie mym przebijała się uraza; tobie moja Biniu wydało ci się, wyobraziłaś coś sobie..

— A więc przypuszczasz, zawsze z tym samym żalem przerwała Biniu, że dla nieuzasadnionych przypuszczeń, dla jakichś mar wyobraźni, chciałabym zachwiewać twoim spokojem i odwracać twe serce od człowieka który ci się podobał.. Przebaczam ci, moje dziecko, to krzywdzące podejrzenie, ale zarazem powiadam ci, że ani twój gniew dziecinny, ani żaden względ na świecie nie powstrzyma mię od pokazania ci prawdy jakkolwiek nagiej i przykrzej, od ratowania cię w jakikolwiek bądź sposób przed grożącym ci niebezpieczeństwem. W tej chwili w przyległym pokoju dał się słyszeć głos mojej matki wołającej na mnie, abym co prędzej szła się ubierać na wieczór do p. Natalji. Pożegnałam więc Binię chłodniejszym niż zwykle pocałunkiem i stanęłam przed zwierciadłem wraz z garderobianą Zosią, która podawała mi potrzebne do ubrania przedmioty. Nie wierzyłam ani na jotę temu co mi powiedziała Biniu, wdrygałam się na samo przypuszczenie nietylko możliwości podobnego postępku ze strony Lubomira, ale nawet istnienia gdziekolwiek na świecie postępków podobnych, a jednak widok zgrabnej i przystojnej subretki drażnił mię i po raz pierwszy był nieprzyjemnym.

MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TLUMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEKŁAD

Paulinę Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Lady Lundie nagle wytrzeszczyła oczy i stała się nosoboną, uwagą tak, że możnaby ją było nawet o ciekawość posądzić.

— Był tu gość wczoraj w czasie drugiego śniadania — zaczął sir Patrik.

Lady Lundie pochwyciła notatki mówiąc ze spazmatycznym ust drganiem:

— Panuję nad sobą, jak niewiasta panować powinna, ale nie wymawiaj tego nazwiska, zaklinam cię! Powiedz tylko po prostu, osoba. Otworzyła notatki, podjęła pióro i pisała coś, że aż kurczył się papier. Któraż część domu mojego naszła ta osoba? Zapewne bibliotekę.

— Tak, pani i widziała się w niej z Bianką.

Pióro wypadło z ręki lady Lundie.

— Panuję nad sobą! Zginęło tam zapewne coś w bibliotece?

— Nie pani, miss....

— Nie wymieniaj nazwiska przez wzgląd na płęć moją.

— Osoba ta odeszła zaraz a nikt nie wie dokąd. Napisała list do Bianki z pożegnaniem, i to bratanek moją tak znegkało, że aż w atak popadła nerwowo. Znając zaś wstręt pani do miss Silwester nie śmiała o niej mówić.

Sir Patrik czekał na odpowiedź. Lady Lundie pisała w notatkach szepecząc pół głosem:

„Powóz niech zajdzie o pół do trzeciej. Zażądać pomocy sędziego i oddać Windygates pod opiekę prawa”.

— Przepraszam odezwała się w końcu do Patrika — czy mam jeszcze coś więcej straszniejszego posłyszec?

— Nic już pani. Opowiedziałem wszystko, a teraz pomówmy o zdrowiu Bianki.

— Pani wspomniałaś o *prognosis*.

— *Diagnosis!* omyliłam się. *Prognosis* jest coś innego.

— A zatem, mówiąc poprawnie, o *diagnosis*.

— Pan jesteś uczonym bardzo, a ja tylko nieumiejętna kobieta, więc nie mogę poprawiać pana. Cóż dalej?

— Nasz przyjaciel doktor, zalecił wyraźnie byśmy się starali rozzerwać Biankę i odwrócić myśl jej od tych smutnych wypadków. Zgadzasz się pani na to?

— Czyż ja mogę opierać się panu? Jesteś mistrzem ironji wykwintnej a ja tylko słaba kobieta.

— Więc pani zgadzasz się na wniosek przyjaciela naszego?

— Czemuż odwołujesz się do mnie i na mnie wkładasz tę odpowiedzialność?

— Przez cześć dla zdania pani. Odpowiedzialność wszelako ciąży na mnie, bo jestem opiekunem Bianki.

— Dzięki Bogu! zawołała lady Lundie z uniesieniem pobożnym.

— Czy pani składaś dzięki Bogu za to że powątpiewasz jakobym w obecnych okolicznościach,

potrafił postąpić sobie jak mi mój obowiązek wskazuje?

— Nie dlatego, tylko podejmując trud wychowania Bianki przekonałam się, że mam do czynienia z dziewczyną bez serca, upartą, zepsutą a nieoprawną.

— Nieoprawną?

— Tak jest.

— Zatem, pragnę panią co rychlej od nieznośnego trudu czuwania nad nią uwolnić.

— Nikt od podjętych raz obowiązków nie potrafi mnie zwolnić, gdybym i umrzeć miała.

— Ale, jeżeli to właśnie zgadza się z owym poświęceniem, które pani jako godło niewiastom naznaczasz?

— Tłumacz się pan jaśniej.

Sir Patrik westchnął.

— Nie chciałbym wymagać za wiele.

— W imieniu obowiązku możesz wymagać wszystko...

— Tak, ale... ludzka natura ma granice swoje.

— Chrześcijańska niewiasta szlachetnego rodu nie zna żadnych pod tym względem granic.

— Czy zdeptałabyś pani wypielegnowane w duszy idee i przekonania, gdyby tego jako obowiązek bezwzględny wymagało dobro Bianki?

— Niezawodnie! zawołała chrześcijańska niewiasta, składając ręce pobożnie, bez wahania się w jednej chwili.

— Czyliż więc nie jest obowiązkiem pani zastosować się do przepisu pierwszego lekarza w Anglii, gdy chodzi o zdrowie Bianki?

— Zapewne.

— Przypuśćmy, że Bianka jak każda inna ludzka istota, ma także swoje widoki szczęścia, więc potrzeba zważać na nie, by rady znakomitego doktora przyniosły właściwy pożytek.

Lady Lundie byłyby w tej chwili w bracie męża dostrzegła wyraz szyderstwa, gdyby wyłącznie nie była zajęta myślą stawiania mu oporu i dokuczania Biance.

— Skoro pasierbica moja ma takie widoki, chętnie przychylię się do nich — odrzekła — lecz Bianka ma umysł źle pokierowany, a taki nie ma widoku szczęścia.

— Wybacz pani! Bianka ma rzeczywiście widoki podobne, czyli mówiąc wyraźniej, chce pójść za męża, a jej narzeczony Arnold Brinckworth, chętnie każdej chwili do ślubnego powiedzie ją ołtarza.

Lady Lundie zerwała się z krzesła czerwona jak burak i już otwierała usta, gdy ją sir Patrik uprzedził.

— Uspokój się pani, będziesz uwolnioną z obowiązku przykrego strzeżenia nieoprawnej dziewczyny, bo jako opiekun pasierbicy pani, naznaczyłem ślub jej już w połowie przyszłego miesiąca.

Lady Lundie spojrzała na sir Patrika zarówno ze zdziwieniem jak nienawiścią, a pragnąc dokuczyć mu własną jego bronią rzekła z głośnym uśmiechem.

— Mój kochany panie, i po cóż straciłeś tyle słów niepotrzebnych, gdy proste wypowiedzenie żądania byłoby od razu trafiło do celu? Przyspieszenie ślubu Bianki uważam jako pomysł wyborny, jako środek przeciw rozwadze nieszczęśliwego młodzieńca, który jej ręki zażądał gdyby rzeczywistość wzięła przewagę nad gorączkowym rozmarzeniem. Dla tego proszę prawne przyspieszyć układy, by ślub tydzień pierwój jeszcze mógł nastąpić: dogodzi mi to bardziej jak sądzisz a im mniej narzeczony pozna charakter Bianki, tem lepiej dla niej i dla niego a dla mnie przedewszystkiem. Wyrzekłszy to podniosła się z całą pompatycznością postawy swo-

jęj i skłoniła się wdzięcznie sir Patrikowi, pokrywając tryumf wewnętrzny tą niema satyryczno-grzeczną oznaką. Sir Patrik także ceremonjalnie skłonił głową, a lekki uśmiech jego mówił wyraźnie:

— Wierzę każdemu słówku twojej odpowiedzi szlachetnej, zachwycająca niewiasto; bądź zdrowa, obyśmy jak najrzadziej zmuszeni byli z sobą spotykać się.

XXX.

Dzień był prześlizchny. Poranna rosa orzeźwiła drzewa, kwiaty, rośliny i trawniki: ptastwo świegotało wesoło i sędziwy sir Patrik przechadzając się po ogrodzie, zdawało się iż odmłodził wśród czarów przyrody. Wtem nadszedł Arnold z wyrazem twarzy tak przygnębionym i pełnym boleści, że sir Patrik z przestrachem zapytał:

— Cóż się to stało, Arnoldzie?

— Bianka odrzuciła stanowczo zamiar przyspieszenia ślubu pomimo prośb moich najgorętszych, pomimo serdecznych słów jakich nie szczędziłem. Nalegania moje tak dalece ją oburzyły, że aż wybuchnęła płaczem i kazała mi odejść.

— Bóg dał nam świat tak piękny, odezwał się sir Patrik po chwili zadumy, zapełnił go widokami cudnymi, wonią kwiatów i śpiewem ptaszek, nie mówiąc już o miłości, śnie błogim i smacznych objadach, a ludzkie na nim istoty nie umieją z tych darów korzystać. Odbierają sobie sen, apetyt, nie chcą nic widzieć pięknego, nie dźwięcznego posłyszec, płaczą, swarzą się, więc chorują, starzeją się i umierają przedwześnie. I czemuż wszystko tak samo chcąc psują sobie Arnoldzie? Dlaczego mogąc rajskie prowadzić życie, sami torturują się z troskliwością kata nie pomijającego najmniejszej męki, nawet ukłucia śpilka, jeżeli tę pod ręką znajdują?

Arnold zbytecznie znegkany nie zważał wcale, że sir Patrik przyrównał ślepotę ludzką na cudne dary niebios, do oporu jaki Bianka małżeństwu swojemu stawiała i pełen żalu odezwał się prawie bezmyślnie.

— I cóż począć?

— Co począć z ogniem gdy go zagasić nie można? zapytał sir Patrik. Niechaj gore dopóki się nie wypali. A cóż począć z kobietą której uspokoić niepodobna? pozostawić ją własnej woli dopóki nie uspokoi się sama.

— Sądziłem, że mi pan dopomożesz przekonać miss Biankę — wymówił Arnold smutnie.

— Chcę ci być rzeczywiście pomocnym i dla tego powiadam: pozostaw ją tak jak jest, nie mów jej nic o ślubie, nie wspominaj o miłości, o uczuciach, udaje tem się nie zaprzętasz, że o tem nawet nie myślisz, że termin ślubu przewlekłes do nieskończoności, a gdy sama Bianka o nim zacznie mówić powiedz, że nie chcesz być natrętnym, ja tak samo z nią postąpię, a ty nadto nie staraj się jej pocieszać, nie czynj jej żadnych uwag co do miss Silwester i nie drażnij jej niczem. Pozostaw wszystko czasowi, a znajdziesz ją niewątpliwie gotową stanąć przy ślubnym ołtarzu, jak tylko prawne warunki ułożone zostaną.

Gdy Bianka do drugiego przyszła śniadania zdawała się być spokojną zupełnie. Wiele mówiła z Arnoldem, chwilami zamyślała się i spoglądała na narzeczonego z wyrazem szczególnego zajęcia, jak to uważał sir Patrik. To też gdy przechodził do swego mieszkania by zmienić do objadu ubranie, szepnął nieznanie do Arnolda, że pewny jest niemal, iż za powrotem już wszystko zapewne ułożonem zostanie z obopólnem obu stron zadowoleniem.

Kiedy Duncan wiązał panu swojemu białą chustkę na szyi, a umiał to z wyszukana wykonywać

zręcznością, ktoś we drzwi zastukał. Nie przerwało to jednak tak ważnej czynności i pomimo że stukanie na chwilę się nie przerywało, Dunkan nie zwracał na nie uwagi wykończył starannie rozpoczęty węzeł, a sir Patrik spojrzawszy w zwierciadło rzekł:

— Nie źle, choć nieco wymuszenie. Ale zobacz kto tam stuka.

— Telegram, sir!

— Poświadczyć z odbioru Dunkanie, i sir Patrik otworzywszy pośpiesznie kopertę, przeczytał w niej następujące słowa:

„Z Falkirk doniesiono dziś rano, że poszukiwana dama przybyła tam w nocy, a rannym pociągiem odjechała do Glasgowa. Później więcej.“

— Otóż masz! poszepnął przeczytawszy telegram, nie chciałem troszczyć się o nią a tu jak na złość nowy kłopot. Dunkanie miss Silwester udała się do Glasgowa.

— Wielkie to miasto sir, mruknął Dunkan kręcąc głową ze znaczeniem.

— Tak, i mimo telegrafowania i czuwania nad nią, ująć znowu nam może. Nie uchylam się nigdy od żadnej obowiązkowej czynności, lecz wyznam szczerze, że byłbym wolał gdybym tutaj nie był tego telegramu odebrał. Ta wiadomość poruszy znowu wszystko. Podaj mi surdut, muszę się namyślić co dalej robić.

Goście zebrani w bibliotece długo musieli czekać zanim pani domu nadeszła. Opóźnienie swoje usprawiedliwiła wizytą pana Juliusza Delamayn z żoną, którzy zostawili bilet zapraszający na zabawę, jaką urządzili u siebie dla całego towarzystwa bawiącego w Windygates. Chwaliła ich uprzejmość i opowiadała, że hawi u nich mistress Glenarm, którą spotkała w Londynie i która prosiła, by ją lady Lundie przypomnieli.

Juliusz mówił jej o bracie swoim zajętem przygotowaniami do pieszego wyścigu, co wszystkich w całym jego domu niezmiernie zajmowało. Panie studjowały różne rozprawy wyścigowe jako też życiorysy znakomitych pod tym względem mężów, panowie zaś towarzyszyli dziś z rana Godfrydowi przy wymierzaniu mili angielskiej do ćwiczeń odpowiednich w oddalonej części parku, i pomogli mu urządzić domek zaopatrzony we wszelkie potrzeby, na przyjęcie znakomitego trenera z Londynu mistrza wyścigowego, który go zwykle układał i przysposabiał do tych bohaterkich zapasów. Pani domu mówiła wiele przez ciąg całego objadu i była w szczególnie wesołym usposobieniu. Sir Patrik natomiast był milczący, posępny i zadumany rozważając czy odpowiedzieć na telegram który miał w kieszeni, czyli też miss Silwester własnej pozostawić doli. Ale spojrzawszy na Biankę bladą, i zmienioną, powiedział sobie: cóż wyniknie z tych nowych poszukiwań? Miss Silwester zniknie nam znowu, to i po cóż w biednym dziewczęciu budzić nadzieję, której spełnienie tak jest wątpliwem? Postanowił zatem wszystkiemu dać pokój, szeryfa zbył milczeniem i telegram własną spalił ręką.

Nazajutrz zrana gdy stanął przy oknie w swoim pokoju, zobaczył młodą parę idącą przez trawnik. Bianka wspierała się na ramieniu Arnolda, głowy ich były pochylone ku sobie i rozmawiali z wielkiem zajęciem, a gdy mu po za drzewami zniknęli, wymówił z zadowoleniem: „Dzięki Bogu wszystko skończy się dobrze!“

PIĄTA SCENA.

Glasgow.

XXXI.

W dniu w którym sir Patrik otrzymał drugi telegram z Edynburga, przybyła do hotelu pod Baranią głową w Glasgowie, podróżna pani najętym z kolei żelaznej powozem. Przywozła z sobą czarny kuferek i torbę skórzaną, kar teczka na kufierku przylepiona zawierała nazwisko mistress Graham, które w Anglii i Szkocji pospolitem jest bardzo.

Przyjęta przez gospodarza hotelu, zażądała sypialnego pokoju który jej służąca zaraz wskazała Master Karnegie udawszy się następnie do żony, szczególnie na twarzy jaśniał zadowoleniem. Opowiedział jej: że obca dama, mistress Graham, numer 17 zajęła, i dodał: jest-to jedna z najpowabniejszych kobiet jakie widział kiedy, ale zdaje się być bardzo cierpiącą.

Mistress Karnegie zrobiła wielkie oczy co małżonek jej z równie wielką spostrzegł obawą i powstawszy wyrzekła, że musi przekonać się sama, czy ta mistress Graham może być na mieszkaniu pod Baranią głową przyjęta. Master Karnegie uznał jak zawsze, że małżonka jego zupełną ma słusność. Gospodyni powróciwszy ze swęj wyprawy rzuciła na męża spojrzenie, w którym zdawały błyszczeć oczy szakala a kły i szpony tygrysie.

Kazała zanieść pod Nr. 17 herbatę i zakąskę jakąś, poczem zwróciła się ku niemu i rzekła:

— Jesteś głupcem!

— Co? moja kochana? zapytał małżonek nie bardzo zdziwiony, takim ujemnem uczuciem swęj osobistości.

— Wszak mówiłeś że przybyła dama jest najpowabniejszą z kobiet jakie widziałeś: otoż na to powiem, że widocznie ładnej nie widziałeś nigdy kobiety, jeżeli ją uważasz za najpowabniejszą.

Master Karnegie kiwnął głową potwierdzając zdanie żony w niemem milczeniu.

Mistress Karnegie odbyła następnie przegląd wszystkiego jak zwykle, poczem rzuciła się na krzesło, że aż to zatrzeszczało.

— A nie mów mi także że jest cierpiącą — odezwała znowu do męża — raczej to zgryzota jakaś jak choroba.

— Czy być może? ozwał się tamten.

— Skoro ja mówię że tak jest to wszelkie powątpiewanie staje się dla mnie obrazą.

Master Karnegie przyznał, że żona ma wszelką słusność.

W pół godziny potem dla mistress Graham posłano po powóz. A master Karnegie widząc ją schodzącą z góry schronił się w kącik pokoju, lękając się znowu gniewnych wybryków swęj małżonki.

— Cóż to? zapytała stłumionym głosem przystępując do niego. Czyliż po dwudziestu latach małżeńskiego pożycia, sądzisz że mogę być o ciebie zazdrośną? Idź ot lepiej i odprowadź mistress Graham do cab'u. (1)

Gdy mistress Graham już siedziała w powozie, zapytał gospodarz, dokąd ją woźnica miał zawieść.

— Do biura prawnika master Kamp — odrzekła, i powóz na oznaczoną pojechał ulicę.

XXXII.

Master Kamp siedział w kancelarji swęj obłożony mnóstwem akt i papierów. Ale widać że nie dość ich jeszcze było bo zadzwonił i kazał przynieść więcej.

Pisarz który je przyniósł oznajmił mu zarazem, że jakaś pani wskazana przez mistress Karnegie z pod Baranię głowy, chce rady jego zasięgnąć. Prawnik spojrział na zegarek i wyrzekł:

— Wprowadź ją tu za minut dziesięć. Po dziesięciu minutach zapowiedziana pani weszła. Usiadła na podanem sobie krześle, odrzuciła gazową zasłonę i zrobiła na prawniku to samo wrażenie, co na właścicielu hotelu pod Baranią głową. Od lat wielu po raz pierwszy, poczuł jakąś szczególną sympatję dla obcej sobie zupełnie kobiety. Było coś w jej spojrzeniu, czy też w wyrazie twarzy co tak przyjaźnie za nią przemawiało.

Obca pani oświadczyła głosem nader miłym lecz smutnym, że pragnie rady jego zasięgnąć co do małżeństw według praw szkockich zawartych, i że od rozwiązania pytania tego, zależy jej spokój własny, i szczęście najdroższej jej sercu osoby. Poczem opowiedziała ten sam wypadek, który Godfryd Delamayn sir Patrikowi przedstawił przyznając jednak, że sama mówi o sobie i zapytuje: czyli według praw szkockich jest lub nie jest zaślubioną?

Master Kamp uczynił jeszcze zapytań kilka, a potem wyrzekł z powagą.

— W Szkocji wola dwojga ludzi jest już dostateczną do zawarcia prawnie małżeństwa. Rozważając zatem opowiedzianą mi przez panią okoliczność twierdząc, że pani jesteś zamężną.

Nieznamoma posłyszawszy ten wyrok uległa tak silnemu wrażeniu, że master Kamp pomimo prawnęj narady uznał za konieczne przywołanie swęj żony do kancelarji, co mu się zapewne pierwszy raz w życiu, zdarzyło.

Mistres Kamp wielką stała się pomocą. Obca pani przyszła wprędce do siebie, a pomieszany prawnik powstał tak samo jak sir Patrik, na niepewność słów szkockich, na zamieszanie i niepokój przez to nierozsądne wywołane prawo, i wreszcie dodał:

— Inny prawnik może inne będzie miał zapatrywanie. Bo różnimy się nieraz, w pojmowaniu przepisów prawa, radzę zatem pani udać się do mojego kolegi, master Kruma do którego dam pani słów kilka objaśniających.

Master Krum był starszym co do wieku od kolegi swęj, słuchał z uwagą całego opowiadania, czynił pytania ze szczególną względnością, na jaką zdobywał się rzadko, a potem rozważywszy wszystkie okoliczności wyrzekł stanowczo:

— Małżeństwo nie zostało zawarte. Było to raczej tylko utorowanie drogi do nastąpić mającego związku. Mogłabyś pani jednak z prawnem wystąpić żądaniem czego jednak jak mi się zdaje nie pragniesz bynajmniej.

Obca pani odetchnęła swobodniej i twarz jej rozjaśniła się uśmiechem niezwykłego zadowolenia: master Krum pogłaskał ją dobrodusznie po ramieniu i dozwolił spocząć chwilę, pomimo że mu zabierała czas drogi z którym liczył się bardzo.

— Pani nie chcesz zapożyczać tego pana jako męża swęj — zapytał po chwili — ale czy on także zgodzi się na to?

— On nawet nie zna dobrze swęj położenia i okoliczności którą panu opowiedziałam. A ma zaślubić najdroższą przyjaciółkę moją, którą całym kocha sercem.

Master Krum otworzył oczy i zapytał o ile mógł, z wyszukaną względnością.

1) C a b, powóz publiczny, tyle co fi a k r.

— Czyby to pani sprawiło wielką przykrość, gdybyś mi opowiedziała jakim sposobem ów jegomość zabrnął w tę przykrą sprawę?

— Uwolnij mnie panie od tej bolesnej spowiedzi...

— Przepraszam, przerwał prawnik pośpiesznie, ale prawo nie zna litości. W każdym jednak razie winnaś pani powiadomić tego pana, ażeby całą tę sprawę oddał w ręce osoby znaną ci obojgu, która wiedziałaby co dalej czynić wypada. A teraz racz mnie objaśnić czy dzień ślubu owej młodej pary już jest naznaczony?

— Zapytywałam przyjaciółkę moją i odpowiedziała mi, że ślub ich nastąpi w jesieni dopiero.

— Wielkie to szczęście, będziesz więc pani miała dość czasu do zapobieżenia wszelkim szkodliwym następstwom, gdyby małżeństwo przed usunięciem skutków tego wypadku zostało zawarte.

Gdy pożegnawszy nieznanego prawnika, znalazła się sama w powozie, składając błagalnie ręce wyrzekła z uczuciem: Boże! daj mi jeszcze choć tyle życia, bym mogła złe naprawić którego mimowoli stałam się powodem.

XXXIII.

Mistress Karnegie była ograniczoną i niezmiernie gwałtowną, ale obok tych wad niepokonanych, miała wszelako i przyniosły dobre. Ziarno lepszych uczuć zapuściło korzenie w jej duszę i czekało tylko chwili, w której miało rozrość się bujnie. Chwila ta nadeszła właśnie gdy powóz najęty powrócił z mistress Graham, i ta blada, znękana, zaledwie przez się przejść mogła. Widząc ją w tym stanie, owe pocziwsze zbudziły się w niej uczucia, że aż rzekła do nieznanym:

— Jesteś pani bardzo zmęczoną i cierpiącą, przysiężę jej służącą....

— Przyslij mi pani papieru, atramentu, i pióro, przerwała mistress Graham padając bezsilnie na kanapę, muszę list napisać natychmiast. Kiedy przyniesiono żądane przedmioty, znalazła nieznaną zupełnie omdlałą. W hotelu zrobił się popłoch gdyż sądzono że umarła, chorą trzeźwiono, rozcierano, wreszcie posłano po doktora.

Wieczorem mistress Karnegie ukazała się w bufecie z poważną nadzwyczaj miną.

— Jest bardzo chora — odrzekła na zapytanie córki łagodniej niż kiedykolwiek — a nawet prawie umierającą.

Nazajutrz chora ożywiła się nieco, nawet przemówiła, ale nie dziwiło ją to wcale że obcy otaczają ją ludzie. Potem majaczyła, straciła zupełnie przytomność, wpadła w ogromną gorączkę i doktor oświadczył że choroba może potrwać tygodnie, albo też nagłą zakończyć się śmiercią i że potrzeba zatem do jej krewnych napisać.

Wezwany master Krum przedewszystkiem zapytał: czy list napisała? Gospodyni pokazała arkuszyk papieru na którym przeczytał zdołał, jak n. p. „Drogi panie Brinkworth... muszę ci się narzucić... Chodzi o Biankę... Przez miłość Boga... nie myśl o mnie...!” Było coś więcej jeszcze nakreślone, lecz nieczytelnie całkiem.

Doktor i czuwająca kobieta twierdzili, że wyrazy, Brinkworth i Bianka, chora często miała na ustach. Mówiła i o liście chciała go odnieść na pocztę ale narzekła że tego dokonać nie może. Czasami znów zdawało się jej że człowiek stał temu na przeszkodzie, że ją odpychał o mil tysiące i dwa lub trzy razy nazwała go Godfreydem. Nie mogąc z tego wszystkiego nic jasnego wywnioskować, postanowili

wili przejrzeć suknie, które miała na sobie przybywszy do hotelu, i przeszukać kuferek i torbę podróżną.

Kuferek był kupionym niedawno, bielizna także była nowa i nieznaczone wcale.

W torbie podróżnej znaleźli przeszło osmdziesiąt funtów w biletach banku angielskiego; niektóre przedmioty gotowalne, fotografię młodej kobiety z napisem: Bianka Annie i nic więcej.

Master Krum pokręcił głową.

— Listów żadnych! — rzekł, a kobiety zwykle lubią chować listy. Widocznie zniszczyła je umyślnie.

Pozostał zatem jeden tylko sposób powiadomienia jej krewnych i przyjaciół, przez ogłoszenie wypadku tego w pismach publicznych, co master Krum bez zwłoki uczynił.

Trzy dni ubiegły, a nikt się nie zgłosił i chora w jednym i tym samym pozostawała stanie.

— Uczyniliśmy wszystko co można było zrobić rzekł prawnik — nie masz przeto innej rady, jak wyczekiwanie cierpliwie wyzdrowienia chorej lub jej śmierci.

Tegoż dnia w Windygates wielką była radość, gdyż Bianka zezwoliła na przyspieszenie ślubu z Arnoldem i napisała do Londynu zamawiając sobie ślubną suknię.

SCENA SZÓSTA.

Swanhawen Lodge.

XXXIV.

Swanhawen Lodge posiadłość Juljusza Delamayn nie miała tak przestronnego domu jak Windygates, ale ten był zamieszkałym już przed dwoma wiekami, gdy Windygates dopiero budować zaczęto. Zajazd i ogród nie były tak wspaniałe i wystawne jak w Windygates, lecz park był piękny, mniej wprawdzie starannie utrzymywany, ale mniej jednostajny, jak to zwykle bywa w parkach angielskich magnatów.

Zaproszeni goście na dzień 31 sierpnia zebrali się licznie. Smith i Jones przybywszy z towarzystwem stali na tarasie z tyłu domu, blisko wschodów wiodących w głąb ogrodu. Stanowili oni poniekąd straż przed nią, bo za nimi wychodzili inni goście. Nadszedł i sam gospodarz domu, jakoby dowódca naczelny; zgromadził oddziały i pochód skierował do jeziora by przypatrzeć się łabędom.

Taras pozostał opróżnionym: po chwili wyszły z pod starego kamiennego portyku dwie panie jedna niska, szczupła i nader skromnie ubrana, druga wysoka przystrojona z wyszukany przepychem. Pierwszą była pani Juliuszowa Delamayn drugą lady Lundie.

— Wytwornie! zawołała ta ostatnia przypatrując się dawniej rzeźbie okien, zwieńczonej malowniczo wikliną i kamiennym filarem, u stóp których różnobarwne kwiaty niby piękny tworzyły kobierzec. Szkoda, że sir Patrik, przyjemności dzisiejszej z nami podzielać nie może.

— Wyjechał podobno do Edynburga w interesach familijnych.

— Tak. Zajdzie zmiana w rodzinie naszej, dla mnie bardzo nieprzyjemna bo mi krzyżuje wszystkie na jesień zamiary. Ślub pasierbicy mojej w przyszłym nastąpi tygodniu.

— Już tak prędko? I za kogoś idzie?

— Za pana Arnolda Brinkworth.

— Nazwisko to znane mi.

— Słyszałaś pani zapewne o niem jako o spadkobiercy po miss Brinkworth.

— Czy master Arnold Brinkworth towarzyszy tu paniom?

— Sir Patrik i master Arnold Brinkworth wyjechali razem do Edynburga, za nieobecność więc obu dwóch przepraszam. Warunki ślubne podobno już za dni cztery ułożone zostaną, bo panowie ci chcą osobiście dopilnować prawników. Mamy spotkać się z nimi w drodze do Londynu.

— I pani opuszczasz Windygates w tak pięknej porze?

— Bardzo niechętnie, ale jestem na łasce pasierbicy mojej, bo sir Patrik opiekun, ulega jej we wszystkim. W przeszły dopiero piątek zezwoliła na oznaczenie dnia ślubu. A przytem zażądała stanowczo, by małżeństwo nie zostało w Szkocji zawartem. Czysty to upór dziecinny! Ale cóż ja poradzić mogę. Sir Patrik stosuje się ślepo do jej woli, to samo master Brinkworth więc i ja chcąc być na ślubie, muszę zgadzać się na wszystko. Jedziemy zatem do Londynu już jutro.

— Czy ślub ma nastąpić w Londynie?

— Nie, przejedziemy tylko przez niego jadąc do majątku sir Patrika w Kent. Majątek ten odziedziczył wraz z tytułem, i tam to najdroższy mąż mój dni swoje zakończył. Ale pasierbica powzięła jakąś szczególną do Windygates niechęć, a przytem mają jakieś powody do przyspieszenia ślubu... Ale gdzież jest mistress Glenarm?

Spotkamy ją zapewne nad jeziorem, do którego możemy się udać jeżeli pani pozwoli.

— Czarują mnie wszelkie piękności natury — zwłaszcza też jeziora.

Towarzystwo oczekiwane w tej chwili nadeszło. Była w niem i Bianka która z jedną ze swoich znajomych panienek trzymając się pod rękę szła zwolna po za wszystkimi.

W tem ukazał się pod portykiem starego domu, szanowny Godfrey Delamayn z kwiatkiem w zębach a z rękoma w kieszeniach. Niedługo zjawiała się poza nim postać niewieścia pięknie i kosztownie ubrana podług najświeższej mody paryskiej. Brosza na jej piersiach cudnej wody i ognia zawierała wielki brylant. W rękę trzymała wachlarz misterny wyrób indyjskiego mistrza. Była to mistress Glenarm majetna, bezdzietna, bogata w pieniądze a uboga w zasoby umysłowych skarbów. Podsunawszy się cichaczem uderzyła Godfryda wachlarzem zalotnie w ramię, i wymówiła z wyrazem lekkiej swawoli w spojrzeniu i układzie całym.

— Och! niegrzeczny kawalerze, przecież nakoniec znalazłam pana!

— Mówiłem, że przyjdę, gdy będę miał pół godziny czasu — odmruknął przewracając w zębach łodygę kwiatka. Mam teraz pół godziny wolnej chwili, przyszedłem więc jak przyrzekłem.

— Czy tu przyszedłeś by spotkać się z towarzystwem, czyli też dla mnie wyłącznie?

Godfrey uśmiechnął się. Przewrócił kwiatek znów i odrzekł.

— Dla pani wyłącznie.

(d. c. n.)



Dalszy ciąg opisu dodatku arkuszowego, dołączonego do N. 13. Tyg. M6d.

N. 5. Haftowany szlaczek do koszuli r. 18.

N. 14. Rękaw ten jest od kostjumu z materji gładkiej i w paski, zwanęj elastine; pliski i kokardy z materji w paski pod-

kłada się sztywnym muslinem. Dość szerokiemu i kr6tko uci6temu r6kawowi służy za przedluzenie 50 cent. dlugi wolant, z gładkiej materji, oszyty falbanką i pliską w pasy.

N. 15—25. N. 8. Mankiet do szmizetki ryc. 7. Kielich do cygar.

Robota wypukła z kanwy papierowej.

Materiał: kanwa papierowa srodniej grubosci, tektura, srebrny papier, materja kolorowa, nożyk do wyrzynania opisany w jednym z przeszlych numer6w tego roku, gumma rozpuszczona.

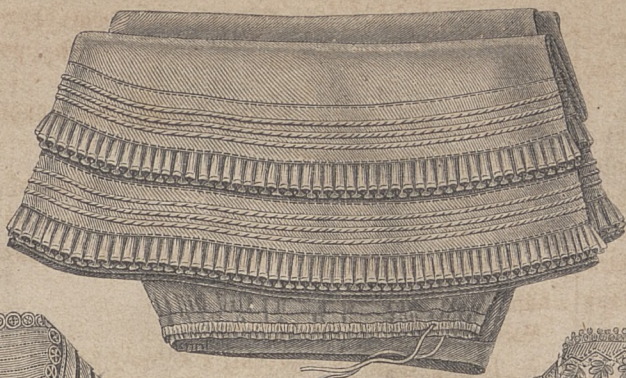
Wzory pojedynczych cz6sci skladyjacych kielich, podajemy w formacie zmniejszonym z zachowaniem potrzebnej liczby oczek kanwy. Zaczynajac robote kielicha od podstawy, potrzeba najpierw kleic z tektury osmiokat, majacy 12 cent. srednicy a 1 cent. wysokości; zwierzchnia ploszczyzna i boki oklejaja się materja koloru pasowego lub inna, wybrana do gustu.

Materja koło osmiokata przykrywa się paskiem kanwy 9 prazków szerokim, wykrojonym w gwiazdki 3 prazki szerokie. Na zwierzchniej ploszczyznie uklada się jeden na drugim 8 kat6w kanwy papierowej, zmniejszanych stopniowo o jeden prazek, które tworzą podlozenie górnej cz6sci postumentu; podany wz6r pod N. 16 w zmniejszeniu jest 7ym z kolei liczac od dołu. Pi6c pozostalych z brzeg6w prostych zmniejszaja się stopniowo o 1, a ze skośnych o 2 prazki.

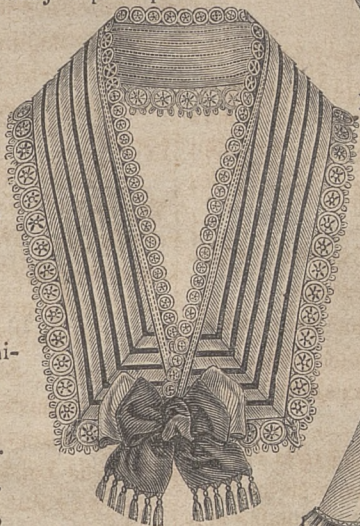
Zobacz ryc. 8 w N. 15 Tyg. M6d.

N. 7. Szmizetka z plisek i gipiury r6cznej.

Zobacz ryc. 8 w N. 15 Tyg. M6d.



N. 1. Sp6dnica grubym sznurem naszyta.



N. 7. Szmizetka z plisek i gipiury r6cznej.



N. 2. Sp6dnica do sukien pow6czystych. Zobacz takze ryci6 3 i 4.

nakoniec 14 poklad6w zmniejszaja się w tym stosunku ku g6rze jak się poprzednio zwiekszaja od dołu t. j. do 2 cent. srednicy.

Zakończenie postumentu i zarazem osada kielicha zlozona jest z 21 poklad6w 6sciokatnych i zn6w ku g6rze stopniowo powiekszana o 1 prazke co 2, 3, i 4 poklady. Na tej osadzie

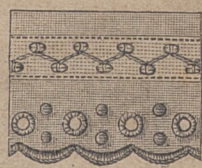
kladzie się sześciokat, majacy 7 cent. srednicy, 4 dlugosci, a około 1 cent. grubosci, na kantach uklejony z poklad6w r6wnej wielkosci i stonawacy dn o pucharu, które go sciane wewnetrzna stanowi 6 kawałk6w, wykrojonych z tektury majacych 12 1/2 cent. wysokości, u g6ry



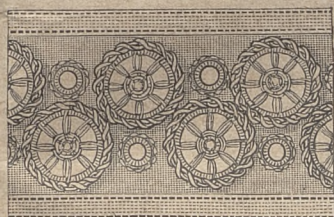
N. 10. R6kawek do ryc. 9.

N. 9. Szmizetka z materjalu azurowego i gipiury. Kr6j N. VIII fig. 25 i 26.

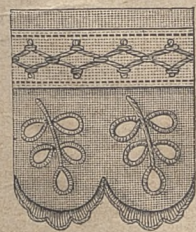
Wiecej zaglebione figury srodkowe (kt6rych brzegi ze wszystkich stron r6wno, tak zewnatr, jak i wewnetrznie o jedną prazke się zmniejszaja) otrzymuja tylko 5 poklad6w, które pasować powinny z dolnym pokladem figur bocznych. Po uklejeniu z osobna wszystkich cz6sci, przyczepia się od dołu kazda z nich cie nka nitka do trzeciego rz6du oczek ploszczyzny podstawy, a nastepnie nakleja na pokrytej materji tekturze. Na kazdy z medaljon6w zdobiacych dolna cz6sc kielicha, potrzeba 13 poklad6w kanwy, trzeci z kolei zwierzchni poklad azurowy, przedstawia N. 23, podany deseń azur6w można z latwością zmieniać i urozmaicac. Z 10 poklad6w stonawiacych ramę, dolny powinien wykrojem wewnetrznym pasować do medaljonu, nastepnie od strony wewnetrznej zwezaja się stopniowo o 1 prazke. Podlug rysunku naturalnej wielkosci podanego pod N. 20 klei się pojedyncze, górne



N. 6. Szlaczek do koszuli rycina 18. Pliska pl6cienna i haft.



N. 14. Wstawka do koszuli ryc. 13.



N. 3. Szlaczek haftowany do sp6dnic ryc. 2.

g6w prostych, tak izby ostatni od g6ry osmiokat mial 2 cent. srednicy. Na tem naklejaja się, tejez obj6tości 2 sześciokaty o brzegach r6wno sci6tych, dalej 12 co 2 poklady o 1 prazke zwiekszajacych się, na tem zn6w 6 zupełnie jednej wielkosci sześciokat6w, które okleja się kolorową materja i paskiem w deseń wyci6tej kanwy;



N. 15. Koszula z napiersnikami osobno danym do zakladania na staniczek pod bluzki klarowne.



N. 11. Kaftanik pikowy. Zobacz ryc. 36 w N. 15 Tyg. M6d.



N. 13. Koszula z karczkiem w ksztalcie paska. Wstawka ryc. 14. Kr6j w dodatku N. III fig. 7 i 8.



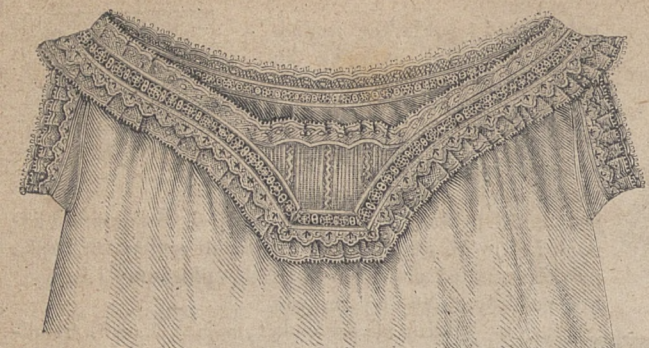
N. 16. Koszula z bufką i wstawkami. Kr6j w dodatku N. X fig. 30 i 32.



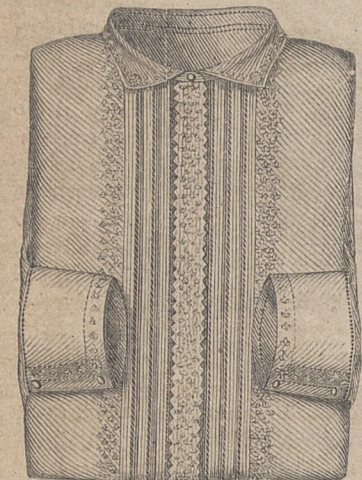
N. 12. Deseń na falbankę do ryc. 49 w N. 14 Tyg. M6d.



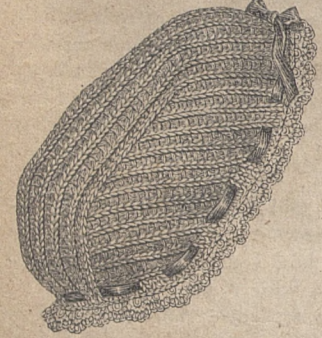
N. 4. Szlaczek haftowany do ryc. 2.



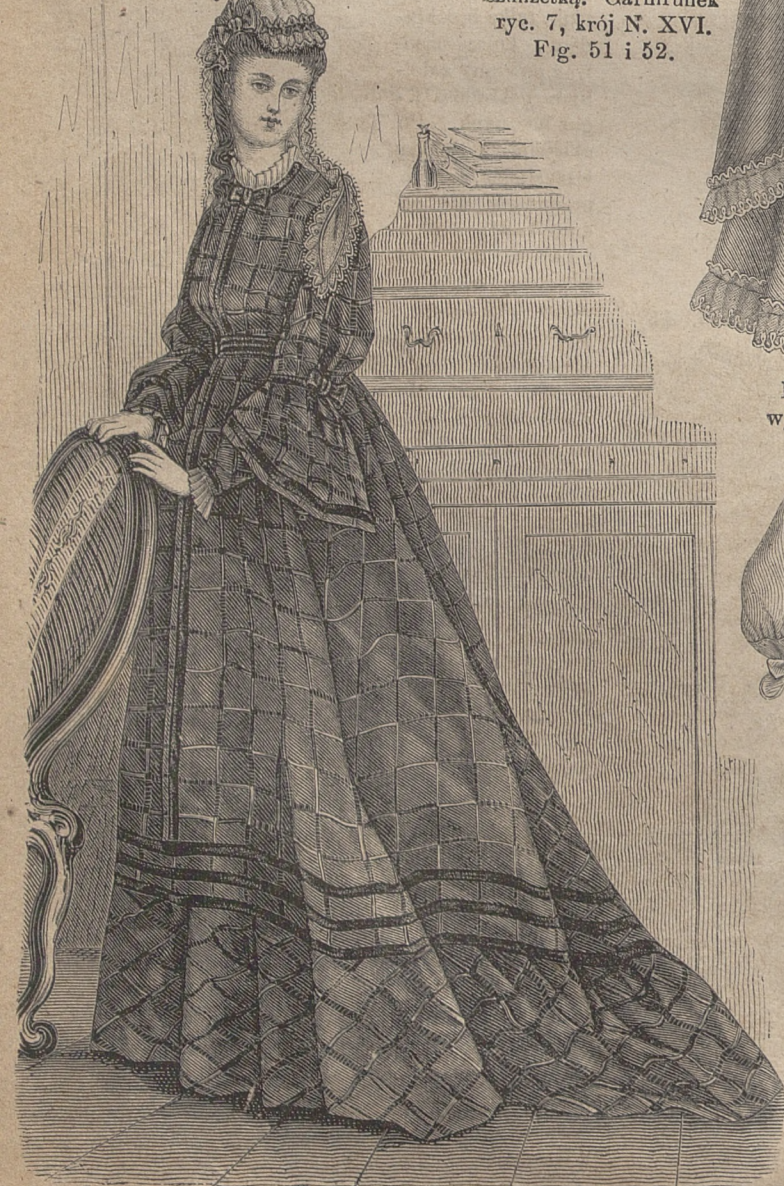
N. 17. Koszula damska z podłużnym karczkiem. Garnirunek ryc. 31 w N. 15 Ty. Mód. Krój N. II, F. 4-6.



N. 24. Kaftanik nocny haftowany. Zobacz ryc. 27, 40, 41 w N. 15 T. Mód. Krój N. VI F. 17-21.



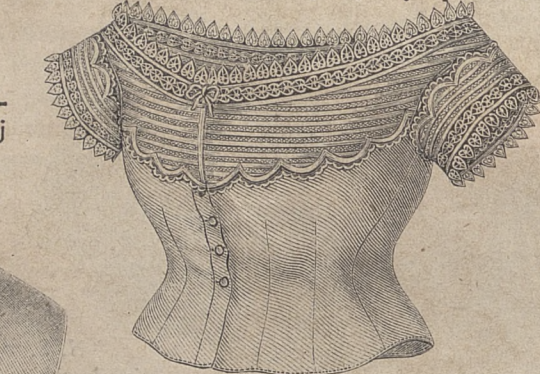
N. 37. Czepek nocny na drutach robiony.



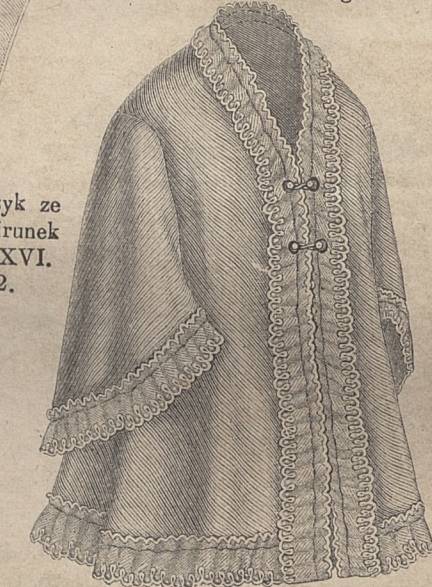
N. 53. Negliz do rannego ubrania.



N. 22. Czepek neglizowy z prostym paskiem.



N. 31. Stanieczek na gorset. (Przód). Krój N. XIV. Fig. 42-46.



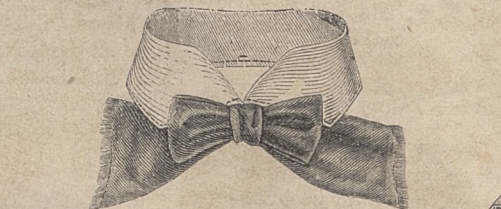
N. 45. Penioar z podłużnym wykrojem. Krój N. IV F. 9 do 11.



N. 39. Czepek nocny ze skósnem czółkiem. Krój N. XIX Fig. 57.



N. 20. Koszula nocna dla kobiet.



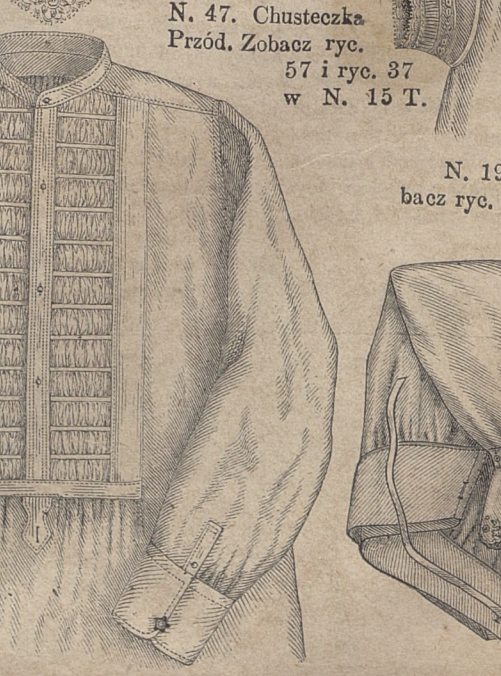
N. 23. Kołnierzyk męski wykładany z krawatką. Krój N. IX Fig. 27 i 28.



N. 41. Fartuszek haftowany. N. 42. Fartuszek z karczkiem i rękawkami.



N. 47. Chusteczka. Przód. Zobacz ryc. 57 i ryc. 37 w N. 15 T.



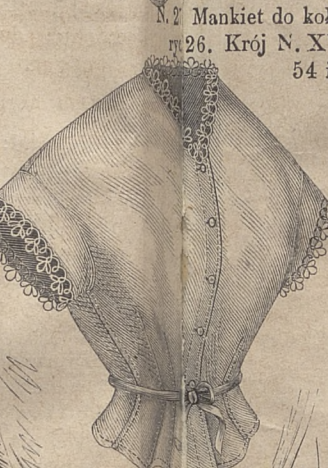
N. 51. Koszula męska. Krój w dodatku N. V. Fig. 12-16.



N. 28. Kołnierzyk męski. Krój w dodatku N. XVII Fig. 55.



N. 29. Kołnierzyk męski stojący. Krój w dodatku N. IX Fig. 29.



N. 30. Stanieczek na gorset. (Plecy). Krój N. XIV Fig. 42-46.



N. 43. Fartuszek z fryzolitowym przyozdobieniem. N. 44. Fartuszek z szelkami.



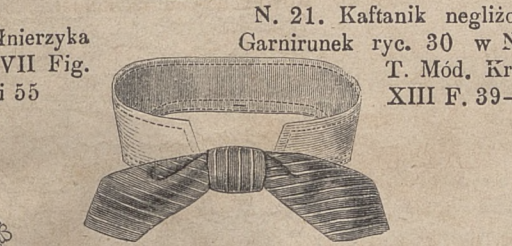
N. 48. Chusteczka do rannego ubrania (plecy). Zobacz ryc. 57 i ryc. 37 w T. Mód N. 15.



N. 49. Majtki damskie z szerszym paskiem. N. 50. Majtki damskie z wąskim paskiem. Zobacz ryc. 30 w N. 15 T. M. Krój w dodatku N. XI F. 33-35.



N. 21. Kaftanik neglizowy. Garnirunek ryc. 30 w N. 15 T. Mód. Krój N. XIII F. 39-41.



N. 25. Kaftanik nocny haftowany. Zobacz ryc. 28, 40 i 41 w N. 15 T. Mód. Krój N. VI Fig. 17-21.



N. 32. Stanieczek na gorset (plecy). Krój N. XIV Fig. 42 do 46.



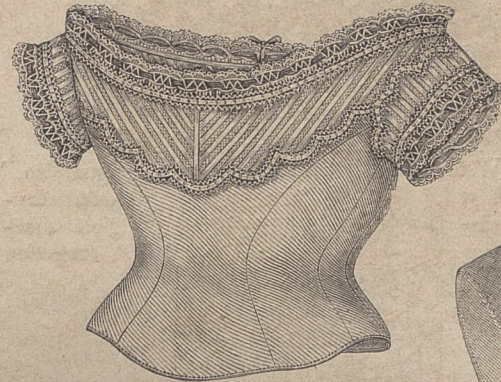
N. 35. Szmizetka wyszywana. Krój i desen w dodatku N. XVI Fig. 51-52.



N. 46. Penioar z szmizetkowym urządzeniem. Krój N. IV Fig. 9-11.



N. 52. Koszula męska do rannego ubrania. Krój N. XX Fig. 58.



N. 23. Czepek neglizowy z rondkiem.



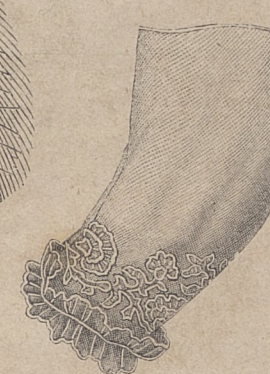
N. 33. Kołnierzyk ze szmizetką. Garnirunek ryc. 7, krój N. XVI. Fig. 51 i 52.



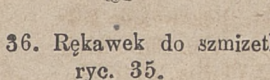
N. 40. Czepek nocny z prostym czółkiem. Krój N. XX. Fig. 58.



N. 18. Koszula damska z zębem. Garnirunek ryc. 5 i 6. Krój N. I. Fig. 1-3.



N. 34. Rękawek do kołnierzyka ryc. 33. Krój N. XVI Fig. 51 i 52.



N. 36. Rękawek do szmizetki ryc. 35.

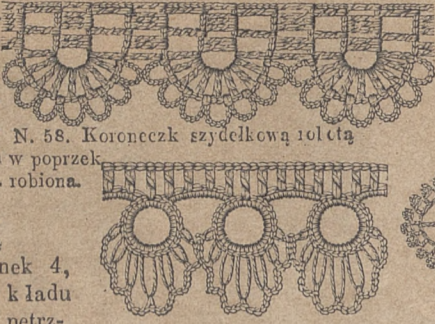


N. 38. Czepek nocny siatkowy.



N. 54. Negliz do rannego ubrania.

części, śpiczasto zakończonej przykrywką, do której podstawę stanowi tekstura wewnątrz papierem srebrnym w poprzek wyklejona, zewnątrz zaś matedżą. N. 19 i 24 podają kształt i rysunek 4, zwierzełnego pokładu medaljonów wewnątrz. N. 21 i 22 wzory trzeciego pokładu części piramidalnych. Ramy medaljonów składają się z 12, ramy części piramidalnych z 10 pokładów stopniowanych, jak to rysunek wskazuje. Po nieznacznym przymocowaniu i skle-



N. 58. Koroneczka szydełkową i ołcżą robiona.
N. 60. Koroneczka szydełkowa z pikotami.



N. 55. Koniec do krawatki. Robota szydełkowa.



N. 59. Koroneczka z roboty szydełkowej i frywolitów.



N. 61. Koroneczka szydełkowa z plecionką „mignardise.”

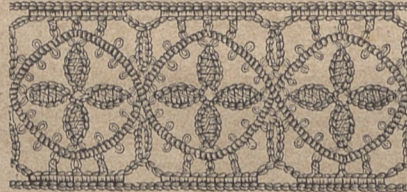
liczących. Dół wolantu dzierga się czarną angielską włóczką podwójną z kwiateczki szywa się szarym łańcuszkiem. Nagłówek pojedynczymi ząbkami zakończony, przeszity wełnianą plecionką.

N. 28—29. Czepeczek z barbą koronkową lub szydełkową.

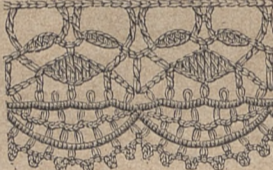
Matériał: plecionka mignardise średniej grubości, bawełna N. 120. Skrócenia: o. oczko; o. śc. oczko ścisłe; o. pow. oczko powietrzne; śl. słupek.



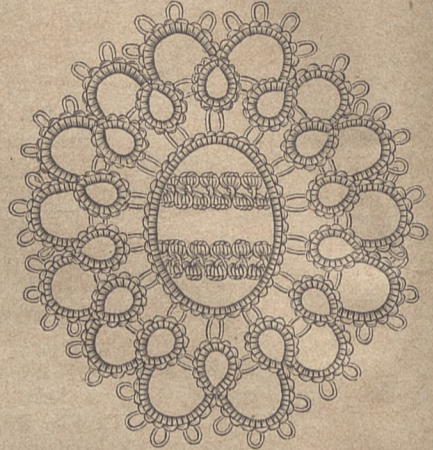
N. 56. Rozeta do przyozdobienia krawatek, chusteczek muslinowych i t. d. Robota szydełkowa i plecionka „mignardise.”



N. 62. Wstawka szydełkowa z plecionką „mignardise.” Gwiazdki w środku odrobione ścięciem tunezańskim.



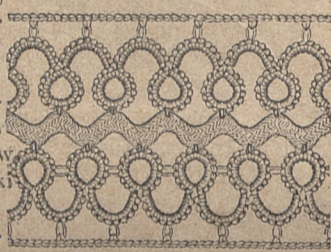
N. 63. Koroneczka szydełkowa i z plecionki „mignardise.”



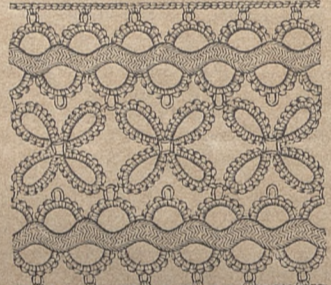
N. 57. Rozeta do przyozdobienia krawatek i chusteczek muslinowych. Frywolity do ryc. 47 i 48.

niu części pojedynczych, zakończą się pokrywką w górze śpiczastym zakończeniem, którego wzór w naturalnej wielkości podaje rysunek N. 25. Podług tegoż rysunku przykroić trzeba foremkę z cienkiej tektury ze wskazanym otworem w środku, okleić srebrnym papierem i na niej przytwierdzić robotę z kanwy złożoną z 2 części, każda zaś część z 8 stopniowanych pokładów. Nakoniec wykleja się wewnątrz pokrywkę papierem srebrnym a w sam kielich wprawia się mocno do otworu, dopasowaną i okrągłymi otworami opatrzoną osadę do wkładania cygar. Patarafka pod kielich jest z czarnego aksamitu otoczona wieńcem z liści dębowych i żółędzi.

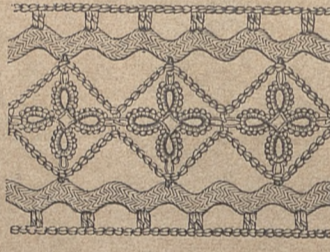
N. 28. Przedstawia ładny czepeczek, upięty z aksamitki, kwiatów i koronki; dwie długie barbki, podłożone aksamitką, odrabiają się podług wzoru N. 29 wielkości naturalnej. Listki zrobić ścięciem gładkim lecz zajmując nitką za drugie połowy oczek, ażeby dobrze układały się karby liścia. Środkową ażurową żyłkę listków stanowi rząd z 21 o. pow. obrabiony śl.; każda połowa listka robi się osobno opuszczając po 3 o. pow. na końcu rzędów dla nadania ząbków. N. 29 wskazuje z całą dokładnością formę medaljonów i przyrobienie plecionki, tudzież połączenie listków w gałązkę; każdy listeczek zaczyna się od górnego końca.



N. 64. Wstawka z frywolitów i ząbeczków.



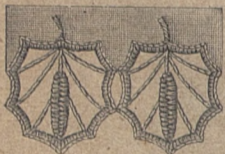
N. 65. Wstawka z frywolitów i ząbeczków.



N. 66. Wstawka z frywolitów i ząbeczków.

N. 26. Spódniczka z czarnej mory wełnianej.

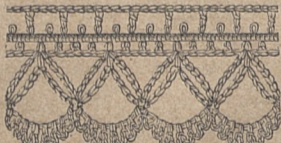
Spódniczka w kliny u dołu oszyta plisowaną falbanką, nad tą w pewnym odstępie szeroka plisa czarna aksamitna, i także aksamitne guziki na plisie.



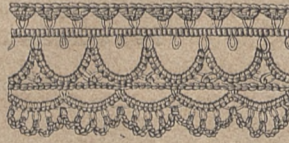
N. 73. Garnirunek gipiurowy do staników na gorset. R. 30 i 31.

N. 27. Spódniczka z flanelki w rzuciek.

W kliny przykrojona górna część spódniczki, dopełnia się wolantem z brytów prostych 28 cent. szerokich a 360 obwodu



N. 68. Koroneczka szydełkowa z plecionką „mignardise.”

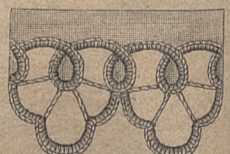


N. 69. Koroneczka szydełkowa z plecionką „mignardise.”

Dalszy ciąg opisu dodatku N. 13 nastąpi w dodatku N. 15 Tyg. Mód.

KORRESPONDENCJA

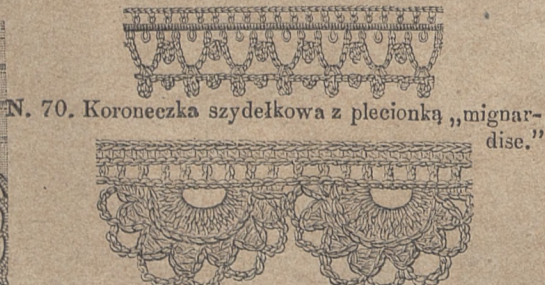
Panu M. O. Siodło dąskie i szpicruta kosztują bez opakowania i opłaty pocztowej rs. 75.



N. 74. Garnirunek gipiurowy do staniczka na gorset. Ryc. 30 i 31.

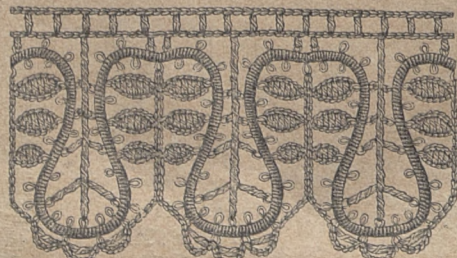


N. 75. Szlak do ozdoby bielizny. Frywolity i haft atłaskowy.

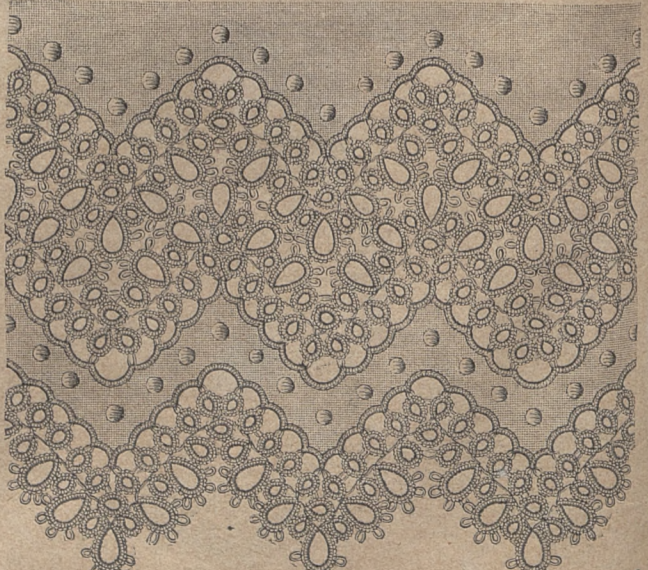


N. 70. Koroneczka szydełkowa z plecionką „mignardise.”

N. 71. Koroneczka szydełkowa.



N. 72. Koronka szydełkowa z plecionką „mignardise.”



N. 76. Szlak do ozdoby bielizny. Frywolity i haft atłaskowy.